





# Żubr lubelski

Zygmunt Mikulski ukończył 23 lipca br. lat sześćdziesiąt pięć. Z tego sześćdziesiąt w Lublinie!

— *Myslałem, że i w Lublinie się urodziłeś. Jesteś przecież taki... lubelski?*

— Urodziłem się w Smogorzowie koło Kozienic. Ojciec był kolejarzem, matka — wiejską nauczycielką. Kiedy ojca przeniesiono do Lublina, to i cała rodzina zamieszkała nad Bystrzycą.

— *Pierwsze sukcesy literackie?*

— Pierwsze były nie literackie, ale sportowe.

— *Szachy?*

— Biegi i skoki. W 1938 r. zdobyłem mistrzostwo Lublina w biegu na sto metrów i w skoku w dal.

— *Pamiętasz rezultaty?*

— Sto metrów w jedenaście i trzy dziesiąte sekundy. W skoku w dal — sześć metrów pięćdziesiąt dwa centymetry.

— *Wydaje mi się jednak, że przed sukcesami sportowymi były jednak sukcesy literackie?*

— Jakżeż znów sukcesy? Opublikowałem jakiś artykuł w piśmie młodzieżowym „W słońce”, to był rok 1936, a rok później wiersz w piśmie pt. „Czerwone tarcze”. Za debiut mogę jednak właściwie uważać te utwory, które znalazły się w tomiku, wydanym w 1945 r., stanowiącym wybór wierszy poetów lubelskich.

— *Pracowałeś w PKWN?*

— PKWN za wielkie słowo. W resorcie kultury i sztuki PKWN byłem skromnym referentem, ale to i owo widziałem, zapamiętałem.

— *I wracałeś do tych miesięcy niedługo. Gdy „Kamena” chciała mieć tekst na ten temat, zawsze słyszałeś swoim piórem.*

— Lubie pisać.

— *PKWN, później Rząd Tymczasowy, który przeniósł się do Warszawy... Ty pozostałeś wierny Lublinowi?*

— Obijałem się tu i ówdzie, by w 1947 roku za namową Jurka Pleśniarowicza trafić do „Życia Lubelskiego” na stanowisko redaktora technicznego.

— *„Życie” wkrótce przestano drukować w Lublinie, techniczny był niepotrzebny, zahaczyłem się o „Sztandar Ludu”.*

— *I z drukarni ściągnięto cię do redakcji.*

— *Cały czas byłem przecież związany z redakcją. Kiedy jednak coś tam napisałem, uznano, że i moje pióro może się przydać.*

— *Redagowałeś przez wiele lat dodatek do „Sztandaru Ludu” — „Kulturę i Życie”.*

— *Od 1958 roku do 1972 roku. Potem...*

— *Potem objąłeś w „Kamieniu” stanowisko kierownika działu literackiego, a później byłeś sekretarzem redakcji.*

— *A później jeszcze, czyli w 1980 r., przeszedłem na zasłużoną emeryturę.*

— *To twoje szczytne dziennikarskie. Ale przesowałeś w ZLP?*

— *Przez trzy kadencje byłem prezesem lubelskiego oddziału ZLP.*

— *Świadczy to o zaufaniu jakim cię obdarzano.*

— *Może byłem za mało konfliktowy?*

— *I dlatego teraz jesteś I sekretarzem DOP przy lubelskim oddziale ZLP i „Kamenu”.*

— *Takie czasy nastąpiły dla emerytów!*

— *Przypomnijmy, co jeszcze wydałeś?*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Lubie pisać.*

— *PKWN, później Rząd Tymczasowy, który przeniósł się do Warszawy... Ty pozostałeś wierny Lublinowi?*

— *Obijałem się tu i ówdzie, by w 1947 roku za namową Jurka Pleśniarowicza trafić do „Życia Lubelskiego” na stanowisko redaktora technicznego.*

— *„Życie” wkrótce przestano drukować w Lublinie, techniczny był niepotrzebny, zahaczyłem się o „Sztandar Ludu”.*

— *I z drukarni ściągnięto cię do redakcji.*

— *Cały czas byłem przecież związany z redakcją. Kiedy jednak coś tam napisałem, uznano, że i moje pióro może się przydać.*

— *Redagowałeś przez wiele lat dodatek do „Sztandaru Ludu” — „Kulturę i Życie”.*

— *Od 1958 roku do 1972 roku. Potem...*

— *Potem objąłeś w „Kamieniu” stanowisko kierownika działu literackiego, a później byłeś sekretarzem redakcji.*

— *A później jeszcze, czyli w 1980 r., przeszedłem na zasłużoną emeryturę.*

— *To twoje szczytne dziennikarskie. Ale przesowałeś w ZLP?*

— *Przez trzy kadencje byłem prezesem lubelskiego oddziału ZLP.*

— *Świadczy to o zaufaniu jakim cię obdarzano.*

— *Może byłem za mało konfliktowy?*

— *I dlatego teraz jesteś I sekretarzem DOP przy lubelskim oddziale ZLP i „Kamenu”.*

— *Takie czasy nastąpiły dla emerytów!*

— *Przypomnijmy, co jeszcze wydałeś?*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Żubr lubelski.*

— *Zbiórki poetyckie: „Spacery lubelskie”, „Czerwiec przez kałkę”, „Do rymu” i „Wspomnienia z Wietnamu”, „Listy spod Lieu”, „Listy spod Liu”.*

— *I jeszcze wspominki lubelskie: „Tamten Lublin”. Nie piszesz dalszego ciągu?*

— *Sobie i muzom. To osobny temat.*

— *Udało ci się w życiu?*

— *W połowie. A w tej połowie, w której mi się nie udało, winę dzielę też po połowie: ze względu na innych i ze względu na samego siebie.*

— *Twój ulubiony autor to Galiński. Chyba połowę jego wierzy recytujesz z pamięci?*

— *Przesadzasz!*

— *Znałeś Galińskiego osobiście?*

— *Tak. Widziałem go czterokrotnie, byłem u niego w domu.*

— *Rozmawialiście o poezji?*

— *Raczej słuchaliśmy muzyki Bacha. Ani Galiński ani ja nie należeliśmy do ludzi zbyt rozgadanych. Ale wspólne milczenie też się liczy.*

— *Jesteś bardzo przywiązany do Lublina?*

— *Też pytanie?! Chodzę po jego ulicach i jakbym czytał własny życiorys. Było się tu młodym! Są to więc spotkania z samym sobą.*

— *Ostatni żubr lubelski?*

— *No, są i inne żubry!*

— *Uważasz, że miasto cię doceniło?*

— *Mam trochę odznaczeń, wśród nich i Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski. Najbardziej cenię sobie odznakę „Zasłużony dla Lubelszczyzny”. Dostałem ją, gdy woj. lubelskie miało większe terytorium niż dzisiaj, więc cenię tym bardziej. Ale przecież nie odznaczenia są najważniejsze! Tu, w Lublinie, poznałem wielu znakomych ludzi, niestety, większość z nich leży już dziś na Lipowej. Kiedyś Leszek Siemion mówił, że więcej znajomych spotyka na cmentarzu niż na Krakowskim Przedmieściu, i on odszedł. Przedwcześnie. Wszyscy wiemy,*



Rys. Józef Tartowski

że się umiera, ale obserwujemy, że umierają inni.

— *Zawsze jest więc nadzieja?*

— *Na nieśmiertelność? Aż takim optymistą to ja nie jestem!*

— *Ale optymistą, jak wiem, zawsze jednak bywałeś. Pozostań więc takim nadal. I czasem napisz coś dla „Kamenu”.*

— *Postaraj się wreszcie o tygodnik!*

— *Wszystko w rękach dyrektora Szypulskiego, szefa drukarni. Myślę jednak, że przed twoim siedemdziesięcioleciem i to nastąpi.*

— *Ha, ha! Siedemdziesięcioleciem? No to daj papierosa!*

— *Rozmawiał M. A. Jaw.*

## z notatnika

15 VII. Telefon od bardzo podenerwowanej znajomej. Przyszła do niej koleżanka z córeczką i psem myśliwskim. Wspólnie udali się na spacer za Osiedle Sienkiewicza. Pies, jak to pies, pohałasował na łące i zbliżył się do jakiejś opalającej się pary. Mężczyzna zareagował szybko: zbil butelkę po piwie i rzucił wystrzępioną połówkę w kierunku zwierzęcia. Pies stracił oko! Dziecko na widok krwi dostało szoku.

Właścicielka psa pojechała do lecznicy, natomiast moja znajoma poszła śladem bandyty, który po zadaniu ciosu wolał się ulotnić. Zginął jej w drodze.

Niedawno w „Głosie Szczecińskim” przeczytałem, że pewna kobieta skradła w sklepie portmonetkę, w której znajdowały się dwa centy amerykańskie. Ukarano ją grzywną w wysokości 48 tysięcy złotych. Czyli za centa — 24 tysiące złotych, czyli za dolara — 24 mln złotych!

Jaką karę winien dostać lubelski bandzior? Mam nadzieję, że uda się go jeszcze spotkać i oddać w ręce Temidy. Dziś pozbawia oka psa, jutro — człowieka!

16 VII. Spotkanie w Urzędzie Miejskim. Prezydent Lublina, Bronisław Popławski, przyjął przedstawicieli Polonii, uczestników Studium Metodycznego, Wakacyjnego Kursu Kultury i Języka Polskiego KUL, tzw. Akademii Folkloru oraz Wakacyjnego Kursu Kultury i Języka Polskiego dla Młodzieży Polonijnej. Zachowując protokół należałoby dodać, że na spotkanie przybyli: poseł Stanisław Rostworowski, dyrektor Polonijnego Centrum Kulturalno-Oświatowego UMCS, doc. dr hab. Władysław Kucharski, prof. dr hab. Grzegorz L. Seidler, szef Zespołu Pieśni i Tańca UMCS, Stanisław Leszczyński, i liczna grupa dziennikarzy. Były przemówienia, czarne jagody ze śmietaną, kawa i herbata. Atmosfera w sumie miła, choć na mój gust za dużo tytułowań, ale my ją w Lublinie szczególnie lubimy. Może zresztą tak trzeba, ja się na tym nie znam. Podobają mi się wystąpienia zakonnic z USA i polonusa z Francji, a także para młodych, która wręczała kwiaty prezydentowi. Chłopak z USA, dziewczyna z NRD (a może odwrotnie) — fajne połączenie. Gdzie jednak nas, Polaków, nie ma?

Polonijne Centrum Kulturalno-Oświatowe UMCS zatrudniające tylko kilku pracowników, bodaj sześciu, dobrze służy sprawie zbliżenia Polonii do kraju ojczystego i ma dorobek niepomijalny. Pisaliśmy zresztą na ten temat sporo, aczkolwiek stale obserwujemy nowe inicjatywy. I dobrze. Polonia powinna czuć wsparcie w kraju, zwłaszcza teraz, gdy niektórym polonusom na Zachodzie tak się w głowach, pod wpływem idiotycznych doniesień burżuazyjnej prasy, pomieszało. Przez młodych można trafić do starszych, oczywiście nasza propaganda musi być umiejętnie dawkowana.

Dopisuję 17 lipca. Dzisiejszy „Kurier Lubelski” donosił, że polonusi złożyli w Kuratorium Oświaty i Wychowania Pozandroszczono naszym nauczycielom małego wymiaru obowiązkowych godzin. W bogatej Szwecji w szkole podstawowej uczy się o jedenaście godzin tygodniowo więcej niż w Polsce. Sami nie wiemy, co posiadamy, chciałoby się dodać!

Inny temat, który muszę poruszyć pod datą 16 lipca. Wiadomo już, że wbrew poprzednim doniesieniom, choroba prezydenta Reagana wcale taka lekka nie jest. Szef ekipy sześciu chirurgów, którzy operowali prezydenta, dr Dale Oller, stwierdził, że guz stanowiący jedną z najzłośliwszych postaci raka, został całkowicie usunięty i jest ponad 50 proc. szans na to, że żadna komórka rakowa nie znajduje się w organizmie. Niemniej wybitny brytyjski lekarz, John Northover, powiedział, że głosy, iż Reagan może być w pełni sprawny już w najbliższym czasie, są wytworem czystej fantazji. Z kolei hiszpański dziennik „El País” poinformował, że guz wykryto już czternaście miesięcy temu. Londyński „The Observer” uzupełnił to doniesienie, pisząc, że w czerwcu 1984 r. lekarze ostrzegali Reagana, iż konieczna jest operacja, ten jednak nie chciał się na nią zgodzić, gdyż uważał, że wiadomość o takiej operacji może mieć niekorzystny wpływ na przebieg wyborów.

Zdrowie zdrowiem, a władza władzą! Niemniej jest coś żenującego w tym roztrząsaniu przez prasę wszystkich aspektów choroby prezydenta. Tu karty są wyłożone na stół. Chory prezydent może wziąć do ręki jedną czy drugą gazetę, poczytać sobie o swych cierpieniach bez osłonek, no i „spokojnie” poddać się rekonwalescencji.

Znowu dopisuję 17 lipca. W listopadzie 1980 r. kiedy Reagan został wybrany na swą pierwszą kadencję jako 40 prezydent USA. Wiele gazet amerykańskich przypomina

nało tzw. czynnik zerowy („zero factor”). Tak określa się pewną powtarzalność złego omenu. I tak od 1840 r. towarzyszył każdemu bez wyjątku prezydentowi USA, który był wybierany na pierwszą lub drugą kadencję w roku kończącym się na zero. Każdy z tych prezydentów umierał lub ginął w czasie pełnienia prezydentury, każdy, poczynając od wybranego w 1840 r. W. H. Harrisona, a kończąc na wybranym w 1960 r. J. F. Kennedym. Teraz znów się pisze na ten temat. Trudno przypuszczać, by gazety, które ów temat poruszała chowano przed prezydentem...

18 VII. W drugim programie telewizyjnym „Pamiętnik znaleziony w Saragossie”. Chciałem go oglądać, bo w filmie występuje plejada znakomych aktorów, lubię jednak i program reportażowy — „Zawsze po dwudziestej pierwszej”. Ostatecznie przestawiłem gałkę na jedynkę. I dobrze, bo obejrzałem bardzo wymowny film Hanny Kramarczyk (przepraszam, może przekreśliłem nazwisko) o Stanisławie Zagajewskim, samorodnym rzeźbiarzu z Włocławka. Diabli człowieka biorą, kiedy widzi, jak się u nas marnuje talenty! Mamy Ministerstwo Kultury i Sztuki, mamy wydziały kultury urzędów wojewódzkich, miejskich, w danym wypadku mam na myśli Wydział Kultury UM we Włocławku, i co? Znakomity artysta mieszka jak żebrak, zbiera po śmietnikach różne przedmioty, z których później wyczarowuje cudenka. Rzeźbami zachwycą się Warszawa, są piękne wpisy w księdze pamiątkowej. To jednak już wszystko...

Pokazany film stanowi swoisty pomnik wstydu dla ludzi odpowiedzialnych za rozwój kultury we Włocławku. Chociaż czy tylko we Włocławku?

Mam nadzieję, że tematem zajmie się bliżej tygodnik włocławski „Kujawy”, choć sądzę, że film, który zapewne i przedstawiciele władz włocławskich obejrzą, nie powinien pozostać bez echa. Lecz jeśli?

19 VII. W „Miesięczniku Literackim” (nr 3, ale „druk ukończono w lipcu 1985”) kolejny odcinek wspomnień Włodzimierza Sokorskiego. Fragment muszę zacytować. Rzecz dzieje się w Karolinie po powstaniu zespołu „Mazowsze”. Sokorski pisze: „Pewnego wieczoru, jadąc do domu już po zmierzchu, dostrzegłem w świetle reflektorów w mijanym lesie siedzącą na pnju Marysię, jedną z czołowych tancerzek zespołu. Wydawało mi się, że popłakiwała, wyszedłem więc z wozu i zapytałem, co się stało. Nie od razu odpowiedziała. Po chwili, nieco zażenowana, przyznała się, że została przez trzech drabów zgwałcona. Byłem zdumiony, zaskoczony i nie mogłem uwierzyć. Była to jednak prawda. Wracała z Warszawy kolejką i w drodze do Karoliny zaskoczono ją w łasku. Nie bronila się, gdyż myślała tylko o torbie, którą miała pod pachą z całomiesięczną wypłatą. Nie wypuściła jej



**R**ACJA stanu dotyczy konkretnego państwa, o określonym typie i formie, a chociaż zawiera szereg elementów, to stanowią one spójny system, gdzie jedne warunkują inne. Z tego względu polska racja stanu w latach wojny wymagała kompleksowego rozwiązania takich podstawowych zagadnień, jak: koncepcja walki z wrogiem o niepodległość, określenie granic i systemu sojuszy, określenie charakteru władzy (w tym reform ustrojowych i społeczno-ekonomicznych). Przyjęcie wizji ustrojowej Polski niepodległej wpływało w zasadniczej mierze na rozwiązanie pozostałych problemów.

Pierwszy polski rząd na emigracji powstał w wyniku porozumienia działaczy stronnictw opozycyjnych (SN, PPS, SL, SP), lecz z udziałem mniej eksponowanych przedstawicieli obozu sanacyjnego (A. Zaleski, A. Koc, gen. K. Sosnkowski). Do tego ostatniego kręgu należał także nowy prezydent Władysław Raczkiewicz. Nastąpiła zmiana w składzie osobowym władz państwowych, pewna zmiana podstaw ideologicznych władzy i systemu rządzenia. Dzięki tzw. umowie paryskiej zostały ograniczone uprawnienia prezydenta, zawarte w antydemokratycznej konstytucji kwietniowej 1935 r.

Powszechnie sądzono, że nastąpiła istotna demokracyzacja władzy i z tego względu rząd W. Sikorskiego uzyskał poparcie znacznych kręgów społeczeństwa. Dodatkowym atutem rządu było natychmiastowe przystąpienie do organizowania sił zbrojnych do walki z III Rzeszą. Był to jednak rząd kompromisu z sanacją. W następnych rządach: Mikołajczyka i Arciszewskiego uzyskiwała ona coraz silniejsze pozycje. Rola sanacyjnych polityków i wojskowych rosła także od 1943 r. w podziemiu londyńskim w kraju.

Świadomość tego faktu wyjaśnia na pozór paradoksalną sytuację, polegającą na tym, że premier i większość członków rządu, pozostający w opozycji do sanacji, jako podstawę działania przyjęli konstytucję kwietniową z 1935 r. Dla utrzymania ciągłości władzy nie był to warunek niezbędny.

Oparcie się na tej konstytucji (nieco zmodyfikowanej) stawiało pod znakiem zapytania szczerść formułowanych zasad ustrojowych przyszłej Polski, zawartych w deklaracjach rządów emigracyjnych, dawało podstawy do słusznej krytyki władz przez lewicę rewolucyjną, a także przez dużą część ludowców, socjalistów i demokratów z kraju. Pod naciskiem radykalnych mas ludowych Komitet Zagraniczny SL w uchwale podjętej 10 sierpnia 1941 r. wyjaśniał: „Stronictwo Ludowe, potępiając gwałt, fałsz i bezprawie w jakich zrodziła się ostatnia konstytucja w kwietniu 1935 r. i jej elitarny system [...], nie uznaje takiego systemu jako podstawy do tworzenia ustroju państwowego [...] Jedyną podstawą, która by mogła służyć jako wytyczne mogłaby być tylko konstytucja marcowa z roku 1921 jako wykładnik prawdziwej, niesfałszowanej woli narodu polskiego”. Wyjaśniano zarazem, że SL zgodziło się na wejście do rządu pod warunkiem przestrzegania przez prezydenta tzw. umowy paryskiej.

Podkreślić należy, że atak na konstytucję 1935 r. ze strony różnych postępowych sił społecznych nie był tylko problemem formalnym. Krytyka podstaw rządu na emigracji dotyczyła bardzo istotnego problemu polskiej racji stanu — oblicza politycznego, społecznego i ustrojowego przyszłej Polski.

W zakresie ustroju politycznego obóz londyński nie wniósł interesujących rozwiązań. Deklaracja W. Sikorskiego z 18 grudnia 1939 r., deklaracja programowa rządu z 24 lutego 1942 r. i inne enuncjacje łącznie z deklaracją Rady Jedności Narodowej z marca 1944 r. były ogólnikowe, zakładały korekty instytucji ustrojowych określonych w konstytucji kwietniowej bądź różne posunięcia praktyczne w oparciu o tę konstytucję. Jedyną deklaracją ruchu ludowego z grudnia 1943 r. ujmowała kompleksowo większość zagadnień ustrojowych państwa. Jednakże i ona była ostro krytykowana przez radykalny odłam SL „Roch”. „Cała koncepcja obozu londyńskiego — pisze S. Turlej — sprowadzała się nie tyle do zmian ustroju, ile do zachowania władzy w wyzwolonym kraju. Stąd szczególną rolę rozwiązań prawnych w kwestiach bezpośredniego objęcia władzy [...] a zupełny brak w sprawach ogólnoustrojowych”. „Nie odbudowa i przebudowa, ale kontynuacja Polski wersalskiej — to stało się z upływem czasu naczelnym hasłem, aksjomatem, zwłaszcza w miarę zbliżania się wojny ku końcowi”.

W sumie wszystkie ugrupowania obozu londyńskiego formułowały program odbudowy kapitalistycznej Polski, z tym, że w myśli ruchu ludowego i socjalistycznego miała to być Polska liberalno-demokratyczna, z dość szerokim zakresem reform społeczno-gospodarczych, ale nie podważających podstaw państwa burżuazyjnego.

Od założeń obozu londyńskiego zasadniczo różniła się koncepcja Polski Ludowej wypracowana przez PPR, ZPP i KRN. Uzyskała ona akceptację lewicy socjalistycznej (RPPS) i radykalnego odłamu ruchu ludowego (SL Wola Ludu) oraz znacznych kręgów społecznych. W pierwszej odezwie ze stycznia 1942 r. PPR wskazywała, że chociaż podstawowym zadaniem partii i jej siły zbrojnej jest walka o wyzwolenie narodowe, to jej celem ostatecznym pozostaje zniesienie stosunków kapitalistycznych. Analiza zmian na frontach wojny, wzrost radykalizmu społeczeństwa polskiego i coraz większy rozdźwięk między interesami Polski a polityką obozu londyńskiego spowodowały, że w listopadzie 1943 r. PPR otworzyła wysuńcła program powołania demokratycznego Rządu Tymczasowego przez lewicę w kraju. „Rząd Tymczasowy — pisano — winien oprzeć się na antyfaszystowskim froncie narodowym, a wszystkie jego zarządzenia muszą być zgodne z duchem demokracji i wolności. [...] Rząd emigracyjny wyłoniony przez przypadkowe, zebrane na emigracji elementy opierał się na antydemokratycznej, nielegalnej i nie uznawanej przez

narodowi konstytucji z 23 kwietnia, nie może być powołany do realizowania ustroju demokratycznego”. Partia zarysowała program reform gospodarczych i społecznych. Postulaty przemian nie wykraczały poza ramy rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, ale wysunięte wbrew stanowisku burżuazji i ziemianstwa przybrały cechy programu ludowo-demokratycznego i miały charakter rewolucyjny.

Formułowana przez PPR wizja społeczno-ustrojowa Polski znajdowała zwolenników nawet w części sił londyńskich, np. w SL „Roch” i BCH. Kontrowersje większe u potencjalnych sojuszników budziła metoda rewolucyjna przejęcia władzy, chociaż w polskich warunkach sprowadzona została do rewolucji z zachowaniem elementów legitymizmu, zmodyfikowanych prawnoustrojowych rozwiązań zawartych w konstytucji 1921 r., z poszanowaniem patriotycznych i postępowych tradycji narodowych. Podobny kształt powojennej Polski formułował Związek Patriotów Polskich w ZSRR.

PPR trafnie oceniając przyszłe zmiany w Europie i świecie stwierdzała: „Polska o reakcyjnym obliczu społecznym i politycznym nie mogłaby się utrzymać na widowni międzynarodowej po rozpadnięciu się w gruzy reakcyjnych państw faszystowskich. Przyszła wolna i niepodległa Polska musi być narodową własnością najszerzszego mas pracujących. Jej polityczno-społeczne podstawy muszą być oparte na fundamentach zasad ludowładztwa, czyli demokracji [...]. W przyszłej Pol-

# Jaka Polska?

Edward Olszewski

sce linia wewnętrznej i zagranicznej polityki musi być dostosowana do potrzeb i interesów całego narodu, musi wpadać w nurt tego nowego, postępowego prądu rozwojowego, który znajdzie swój wyraz w dążeniach mas ludowych również w innych krajach świata”.

PPR dokonała zasadniczego zwrotu w zakresie polityki zagranicznej i miejsca Polski w powojennej Europie i w świecie a co za tym idzie również w kwestii granic. Proklamując powrót Polski do granic piastowskich, opartych o linię Odry, Nysy, Bałtyku, Bugu i Karpat, określano cel dążeń narodowych i środek do kształtowania dobrosąsiedzkich stosunków ze Związkiem Radzieckim i Czechosłowacją. Jednocześnie w polityce zagranicznej dawano priorytet więzi z narodami słowiańskimi i pierwszym państwem socjalistycznym w świecie — Związkiem Radzieckim. Reorientacja ta wynikała z bolesnych doświadczeń dziejów narodu pod zaborami, w okresie międzywojennym i w latach wojny, a jednocześnie — z akceptowanej przez polski ruch robotniczy zasady samostanowienia narodów o swoim losie. Stwarzała warunki do kształtowania się jednolitego narodowościowo społeczeństwa polskiego. W ogólnych zarysach zgodna była także z koncepcjami zmian terytorialnych w Europie wyrażonymi przez główne mocarstwa koalicji antyfaszystowskiej: ZSRR, USA i Wielką Brytanię — w Teheranie w 1943 r. oraz w 1945 r. w Jaltie i Poczdamie.

Wskazać należy, że w dziejach polskiego ruchu robotniczego tylko PPR uzyskała historyczną szansę rozwiązania problemu granicy wschodniej dzięki możliwości odzyskania ziem na zachodzie i północy. Miała możliwość zagwarantowania państwu terytorium właściwego dla narodu i odpowiadającego swą wielkością aspiracjom realistycznie myślącej części społeczeństwa, w tym zdecydowanej większości klasy robotniczej i chłopów. Powrót Polski na ziemię piastowską jest niezaprzeczalną zasługą Polskiej Partii Robotniczej.

Nie była PPR jedyną siłą polityczną postulującą przesunięcie granicy zachodniej nad Odrę i przyłączenie Prus Wschodnich. Wskazuje jednak F. Ryszka: „Wizjonerska i — w wersji prawniczej — utopistyczna koncepcja polskiej granicy na Odrze i Nysie należała do katalogu idei mocarstwowych, sprzężonych z teorią dwóch wrogów. Sprawa granicy jest najcierliwszą sprawą państwa, którego obszar ma wyznaczać Państwo, to nie tylko jednostka geopolityczna, ale zbiorowość ludzka, przyjmująca ustrój społeczny i polityczny. Utopijność koncepcji prawniczej nie polegała tylko na tym, że wyrażano ją niemal na drugi dzień po klęsce, nie raz w klimacie proroczym i przepowiedni. Utopijność miała proveniencję mocarstwową, poza realiami historii, przeciw siłom postępu traktowanym jako wrogi”. Jej słabość tkwiła także, jak wykazała konferencja w Poczdamie w braku poparcia sojuszników zachodnich dla koncepcji ugrupowania obozu londyńskiego w sprawie granicy na Odrze i Nysie. Realność tej granicy gwarantował przede wszystkim sojusz ze Związkiem Radzieckim.

PPR konsekwentnie opowiadała się za demograficzną linią graniczną między Polską a ZSRR. Z tego względu krytycznie odniesiono się do oświadczenia polskiego rządu emigracyjnego z 25 lutego 1943 r. w sprawie granic wschodnich, gdzie powtórzono postulat przywrócenia granicy zgodnej z traktatem ryskim. Wskazywano, że oświadczenie rządu Sikorskiego w sprawie granic wschodnich wyrządziło złą przysługę przede wszystkim Polsce, bo podważało do nas zaufanie bratnich narodów, bo uderzyło w jedność sprzymierzonych. A prze-

cież wieloletnia niewola narodu polskiego głęboko wyryła świadomość, że nie może być wolnym narodem ujarzmiającym inne narody”. Partia mocno atakowała także rząd Mikołajczyka i prasę agrupowaną w kręgu londyńskim, która żywiła nadzieję na rozwiązanie sprawy polskiej na drodze wojny polsko-radzieckiej. Wskazywano, że szeregi ugrupowań starało się kontynuować złą dla Polski myśl polityczną lat 1918—1939 — ślepej nienawiści do ZSRR. W artykule „O myśli politycznej polskiej demokracji” pisano, że polityce wojny ze Związkiem Radzieckim „polska demokracja musi przeciwstawić politykę pokoju, wsołobraczy i dobrosąsiedzkiego porozumienia”.

Za główne filary nowej myśli politycznej, odpowiadającej interesom polskiego narodu PPR uznała: demokratyczny ustrój społeczny przyszłej Polski, gwarantujący pełnię praw politycznych klasie robotniczej, chłopskiej i inteligencji oraz „dobrosąsiedzki przyjazny i rozumny stosunek Polski do naszego wschodniego sąsiada przy uznaniu prawa samostanowienia narodów o swoim losie. Te dwa zagadnienia stanowią jednolitą podstawę, na której rozwijać się będzie siła Polski i dobrobyt narodu”.

Powołanie KRN, AL i w terenie konspiracyjnych rad narodowych nadawało koncepcji programowej PPR nowy kształt. Organizacyjny KRN stała się najwyższą instancją kierowniczą sił lewicy; w przyszłości reprezentacją walczącego narodu.

Polityka PPR w sprawie granic i sojuszy od lipca 1944 r. była realizacją założeń programowych z lat okupacji. Manifest PKWN stwierdzał, że w drodze wzajemnego porozumienia winna być ustanowiona granica między ZSRR a Polską, kładąc kres 400-letnim konfliktom między narodami zamieszkującymi na terenach wschodnich. Wzywał do walki o powrót do Polski ziem piastowskich na północy i zachodzie. W porozumieniu polsko-radziecko-czechosłowackim upatrywał podstawowy czynnik bezpieczeństwa kraju. Jeszcze dobitniej kwestię tę wyjaśniły uchwały Plenum KC PPR z maja 1945 r.: „Droga, na którą wprowadził naród polski zjednoczony obóz demokratyczny w Polsce, oparta jest na dwóch podstawowych filarach: pierwszy filar naszej drogi — to wyrzucenie się antysowieckiej polityki przez odrodzoną Polskę, czyli zwrot polskiej myśli zagranicznej o 180 stopni w porównaniu do oficjalnej polityki polskiej sprzed 1939 r. Drugi filar naszej drogi — to odrodzenie Polski w starych, piastowskich granicach po Odrę, Nysę i Morze Bałtyckie. Przez dobrosąsiedzkie i sojusznice stosunki ze Związkiem Radzieckim wz. acniamy trwałą niepodległość Polski i zabezpieczamy jej granice przed zawsze możliwą do odrodzenia agresją niemiecką... dobrosąsiedzkie i sojusznice stosunki Polski ze Związkiem Radzieckim są fundamentem trwałego pokoju we wschodniej Europie”.

Przy takich stosunkach Związek Radziecki będzie [...] zainteresowany w rozwoju gospodarczym Polski, we wzroście naszej siły w zajęciu przez Polskę najmocniejszych pozycji wśród narodów świata. Nasze stosunki z państwami zachodnimi ułożą się wówczas na zdrowych, tak dla Polski, jak i dla interesów pokoju światowego, podstawach. Przystaniemy być — jak do 1939 roku — obiektem rozgrywek politycznych międzynarodowej dyplomacji. Przy takich stosunkach polsko-radzieckich Związek Radziecki osiąga przede wszystkim wzmocnienie bezpieczeństwa swoich granic zachodnich i nie potrzebuje obawiać się, że ziemie polskie staną się kiedykolwiek punktem wypadu wojennego przeciwko niemu, lub też, że Polska w jakiegokolwiek formie będzie sprzyjać knowaniom antyradzieckim”.

O tym abecadle polskiej polityki zagranicznej warto pamiętać i współcześnie w edukacji politycznej społeczeństwa.

Rozstrzygnięcie problemu wschodniej linii granicznej zapoczątkowały: oświadczenie Ludowego Komisarjatu Spraw Zagranicznych ZSRR z 26 lipca 1944 r. i porozumienie między PKWN a rządem radzieckim w sprawie stosunków między dowództwem radzieckim a polską administracją cywilną z 26 lipca 1944 r., precyzowało — porozumienie między PKWN a rządem ZSRR z 27 sierpnia 1944 r. w sprawie granic Polski, a legalizował — akt sojuszu polsko-radzieckiego z 21 kwietnia 1945 r.

Problem granic zachodnich w polityce PPR stanowił istotny składnik programu budowy Polski Ludowej nie tylko w sensie terytorialnym. N. Kłopotowicz stwierdza: „Z rewindykacją ziem na zachodzie i północy PPR wiązała perspektywę przebudowy społeczno-gospodarczej kraju, uzależniała przyszłe bezpieczeństwo Polski, zapewnienie należnego jej miejsca w Europie powojennej oraz zagwarantowanie trwałego pokoju”.



# Gdzie jest wielki księgozbiór?

## Jesziwa Mędrców Lublina

Mirosław Derecki

**W**JEDNYM z ostatnich dni czerwca na frontonie gmachu Collegium Maius lubelskiej Akademii Medycznej przy ul. Lubartowskiej odsłonięto tablicę głoścącą w trzech językach: polskim, hebrajskim i jidysz, że gmach ten mieścił niegdyś Wyższą Żydowską Uczelnię Rabinacką — Jeszywas Chachmej Lublin. Odsłonięcia pamiątkowej tablicy dokonał wiceprezydent miasta, Feliks Dobrzyński. W uroczystości wzięli udział — jak podała prasa codzienna — „przedstawiciele władz miasta, lubelskich uczelni, Żydowskiego Towarzystwa Społeczno-Kulturalnego, a także delegacja rabinów z Wielkiej Brytanii, Szwajcarii i Izraela”. Ta jedyna w swoim rodzaju uczelnia w Europie działała w latach 1930—1939, do chwili zlikwidowania jej przez Niemców.

Budynek dawnego „Jeszybotu” jest doskonale znany mieszkańcom Lublina. Mało natomiast wie się o historii powstania i działalności Jesziwy Mędrców Lublina, szkoły, która miała ambicje kształcenia przyszłych rabinów nie tylko dla potrzeb społeczności żydowskiej Polski, ale również dla całej diaspory. Jeszcze mniej wiemy o założycielu i pierwszym rektorze tej uczelni, jednym z wybitnych przedstawicieli nauki talmudycznej — rabinie Majerze Szapira...

\*

W księgozbiórce lubelskiej Biblioteki im. H. Łopacińskiego znajduje się książka, prawdziwy „Biały kruk”: dziełko Hilela Seidmana: „Szlakiem Nauki Talmudycznej. Wiedza Judaistyczna a Wyższa Uczelnia Talmudyczna w Lublinie”, wydane nakładem księgarni F. Hoesicka w Warszawie w 1934 r. Książka ta stanowi swoisty hołd oddany przez autora pamięci rabina Szapiry, zmarłego niespełna rok wcześniej.

Seidman pisze o kolejach życia pierwszego rektora Jesziwy Mędrców Lublina, jego działalności na polu naukowym, społecznym i politycznym, o historii budowy, założeniach naukowych i zasadach nauczania w Wyższej Uczelni Rabinackiej. Przedmowa do książki Hilela Seidmana napisał rabin Aron Lewin, prezes Związku Rabinów Rzeczypospolitej Polskiej oraz poseł na Sejm, podnosząc zasługę Majera Szapiry i jako działacza społeczno-żydowskiej, i jako obywatela kraju... Zmarły w 1933 r. rabin Szapira sam był zresztą, w latach 1922—1927 posełem na Sejm II Rzeczypospolitej, stał na czele Kolegium Rabinów przy Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświe-

cenia Publicznego. Kamień węgielny pod Jesziwę Mędrców Lublina położony w roku 1924, otwarcia nowo wzniesionego gmachu uczelni dokonał 24 czerwca 1930 r., spełniając swoją wieloletnią życiową ideę. Ale zanim to wszystko się stało, żył przez wiele lat i działał wśród ortodoksyjnych warstw ludności żydowskiej na głębokiej prowincji...

Urodził się w 1887 r. w ówczesnej Galicji, na Bukowinie, w miasteczku Suczawa. Wywodził się ze słynnego rodu koryfeuszy wiedzy żydowskiej; wśród przodków miał znanego krakowskiego rabina, Natana Szapirę, żyjącego na przełomie XVI i XVII stulecia, autora mistyczno-kabalistycznego dzieła „Megalej Amukoth” („Odstaniający głębie”). Po kądzieli — jednym z jego przodków był rabin Szmuel Ischak Szor z Monasterzysk, autor dzieła rabinicznego — „Minchas Szaj”. Sam Majer Szapira już w wieku 23 lat wydał dzieło „Imrej Daath” („Słowa wiedzy”); trzy lata wcześniej, jako dwudziestoletni młodzieniec, założył w Tarnopolu stowarzyszenie Żydów religijnych pod nazwą „Tyferes Hadas”. Wybrany w 1910 r. rabinem w Glinianach koło Lwowa założył tam uczelnię talmudyczną „Bnej Tora”. W 1920 r. był już rabinem w Sanoku, a w 1924 r. — w Piotrkowie Trybunalskim. W 1926 r. wydał zbiór responsów rabinicznych, dzieło zatytułowane „Or ha — maor” („Światło jasności”).

Na początku lat dwudziestych rabin Majer Szapira zaczął szybko wybić się na jedną z czołowych postaci Związku Polskich Żydów-ortodoksów „Szlómej Emunei Isroel” („Całkowicie Wierni Zakonowi”), potocznie zwanego „Aguda”, jako że był on cześćią składową „Wszelkich Światowej Organizacji Agudath Isroel”. Powstał w 1909 r. w Wiedniu; przy czym „centrala” spraw wyznaniowych światowej „Agudy” była w Warszawie, będąc świetnym oratorem, człowiekiem obdarzonym właściwościami charyzmatycznymi, stanął wkrótce Majer Szapira na czele polskiej „Agudy”. Podczas pierwszego światowego kongresu Żydów ortodoksyjnych w Wiedniu w 1923 roku rabin Szapira zrobił furorę rzucając myśl stworzenia w Polsce światowej wyższej uczelni talmudycznej z siedzibą w... Lublinie.

Ówczesny 130-tysięczny Lublin był miastem, którego jedną trzecią ludności stanowili Żydzi. Ale nie to było głównym powodem projektu umiejscowienia tutaj nowej uczelni; chodziło o kontynuowanie znakomitych tradycji słynnej, pierwszej w Polsce uczelni talmudycznej, Jesziwy, założonej w 1518 r. przez rabina Szaloma Szachiny.

W dziedzinie wiedzy talmudycznej lubelska gmina żydowska wybijała się w Polsce już w XVI w. Przyczyniał się do tego fakt, że właśnie w Lublinie podczas wielkich wiosennych ogólnokrajowych jarmarków odbywały się także sesje tzw. „sejmu żydowskiego” — Rady czterech ziem („Waad Arba ha'Aracoth”), na które zjeżdżali z całej Rzeczypospolitej najwybitniejsi rabiń, uczeni, przewodniczący gmin żydowskich — kahałów, aby omówić sprawy społeczności żydowskiej. Obrady toczyły się zwykle w budynku stojącym na zewnątrz murów miejskich, w pobliżu Bramy Grodzkiej, budynku do dziś istniejącym, usytuowanym u wejścia w ulicę Podwale. Tam też miała znaleźć pomieszczenie pierwsza lubelska Jesziwa.

Szczyt rozwoju osiągnęła uczelnia za czasów trzeciego jej rektora, Szaloma Lirji, zyskując sławę światową. Wtedy właśnie otrzymała z rąk króla Zygmunta Augusta przywilej stawiający ją w rzędzie wyższych zakładów naukowych Rzeczypospolitej.

Wśród kolejnych czterdziestu rektorów lubelskiej Jesziwy znaleźli się mędrzy tej miary, co słynny rabin z Pragi czeskiej, Mordachej Jaffe, czy też znany autor komentarza do Talmudu i zbioru responsów rabinicznych, rabin Majer ben Gedali, sławny „Maharam m'Lublin”.

Do tych tradycji i do dawnej świetności miała nawiązywać Jesziwa Mędrców Lublina...

\*

Majer Szapira był nie tylko doskonałym, natchnionym mówcą, porwijącym tłumy, głoszącym potrzebę stałego samodoskonalenia się religijnego i moralnego; potrafił okazać się także utalentowanym, przedsiębiorczym organizatorem. Uzyskałszy w darze od Samuela Eichenbauma i jego żony obszerny plac pod budowę przyszłej uczelni rabinackiej, położony na przedmieściu Lublina, u zbiegu ulicy Lubartowskiej i Unickiej, wyruszył w podróż po Europie, zbierając wśród Żydów zamieszkałych w Niemczech, Francji, Wielkiej Brytanii, Holandii, Belgii fundusze na budowę gmachu.

W 1926 r. rabin Szapira wyjechał w tym samym celu za ocean, do Stanów Zjednoczonych. W ciągu trzynastomiesięcznego pobytu odwiedził dziesiątki

**Salon książki w Paryżu**

Małgorzata Willaume

**T**EGOROCZNY, piąty z kolei, Salon Książki w Paryżu zgromadził około tysiąca wydawców z całej Francji, a także z państw silnie związanych językiem i kulturą tego kraju (Belgia, Szwajcaria, Kanada, kraje afrykańskie). By wyobrazić sobie ogrom tej ekspozycji w Grand Palais, wystarczy nadmienić, że swoje stanowiska rozmieścił edytorzy

kamena

na blisko 15 tys. metrów kwadr., a obejrzało je około 200 tys. gości.

Myślą przewodnią Salonu było zwrócenie uwagi odwiedzających na literaturę „frankofońską”, książki dla młodzieży i podróżnicze. W związku z tym organizatorzy przewidzieli szereg spotkań i dyskusji, podczas których rozważano między innymi: problemy języka i jego roli w kulturze, znaczenie książki w szkole, kwestie związane z tłumaczeniem literatury dziecięcej czy rolą informatyki w pracy księgarzy i bibliotekarzy.

Każdy wydawca zapewniał pełną informację o publikacjach, które prezentował w Salonie. Dlatego wielka popularnością cieszyły się katalogi, zbierane nie tylko z powodu, iż były dostępne dla wszystkich, ale i po to, by móc zorientować się w ogromie produkcji wydawniczej. Jak niejednokrotnie podkreślano, czytanie katalogów jest nader kształtujące. Ponieważ ceny książek francuskich nie należą do niskich, katalogi często pełnią rolę mapy, do której zagląda się podczas podróży, a w końcu przecież z pewną przyjemnością można studiować sama mapę i... marzyć.

Nauki humanistyczne w ogólnej produkcji wydawniczej zajmują tutaj, według danych z 1983 r. — są to najnowsze liczby — piąte miejsce (8 proc.); po literaturze pięknej (25 proc.), wydawnictwach encyklopedycznych i słownikach (17 proc.), różnego rodzaju poradnikach (12,9 proc.), wydawnictwach z dziedziny sztuki (7,1 proc.).

Trudno w jednym artykule przedstawić całość dokonanych francuskich wydawców. Warto rzucić okiem na książkę historyczną, która wciąż cieszy się sporym zainteresowaniem. Prawdziwą atrakcją Salonu było wystawienie pierwszej światowej reedycji „Biblii”

Gutenberg. Nowe wydanie jest idealną kopią oryginału; wykonane zostało w takim samym formacie, na takim samym papierze. Każdy egzemplarz może odtąd „zastąpić” wystawiany w Bibliothéque Mazarin oryginal. Nakład, aczkolwiek nie oszałamiający — 2950 egzemplarzy — jest w tym wypadku uzasadniony, gdy się weźmie pod uwagę stopień trudności wykonania dzieła.

Innym, nader interesującym przedrukiem okazała się słynna 18-tomowa „Encyklopedia” Diderota i d'Alemberta. Oczywiście, zarówno „Biblię”, jak i „Encyklopedię” można było nabyć!

Powróćmy jednak do wydawnictw bardzo dostępnych dla kłeszeni przeciętnego odbiorcy. Okazuje się, że na około 700—1000 wydawców francuskich, około 150—200 zajmują się drukiem prac historycznych. Obok znanych wydawców — Gallimarda, Flammariona, Fayarda, Payota, PUF — wiele innych również drukuje także książki. Uwagę zwraca znaczna liczba biografii politycznych, wybitnych lub mniej wybitnych mężów stanu. Celują w tym dwa wydawnictwa: Fayard i Pasot swymi znanymi seriami. Jak zwykle sporo było porzeży zajmujących się rozwojem myśli politycznej francuskiej, republikańskiej i liberalnej (C. Nicolet, „L'Idée républicaine en France”, Gallimard). Oficyny regionalne proponowały starannie wydane dzieła prowincji francuskiej.

Zbliżająca się dwusetna rocznica wybuchu rewolucji 1789 r. zaczyna owocować licznymi wydawnictwami, które nie mają tylko charakteru okolicznościowego. Ukazują się więc zarówno wznowienia prac już znanych, jak i całkiem nowe studia nad dziełami rewolucji. U Fayarda jest obszerna biografia Ludwika XVI — męża stanu

wbrew sobie, pióra E. Levera, znawcy dzieł Ancien Régime'u, Gallimard, w znanej serii „Bibliothéque des Histories”, zaproponował studium F. Furta „Penser la Révolution Française”. Nie zapomniano także o druku klasycznej już książki G. Lefebvre'a „Quatre-vingt-neuf” (Messidor) oraz o pracach przedwcześnie zmarłego, wybitnego znawcy dzieł rewolucji 1789 r., A. Soboula (1789, L'n de la liberté, Messidor).

Nowe pokolenie historyków francuskich podejmuje kolejną próbę odpowiedzi na wciąż powracające pytanie: czym właściwie była Wielka Francuska Rewolucja? Jest to pytanie zasadne, bo o odpowiedź nie tak łatwo; szczególnie, gdy widzi się ogrom zniszczeń dzieł kultury narodowej, który spowodowała. Następca A. Soboula, C. Mazauric, w swej książce „Sur la Révolution Française”, stara się odpowiedzieć, czym był w 1789 r. feudalizm? Kim właściwie byli sanktulości, jakobini, wandejezcy? Uzupełnieniem tych rozważań jest praca M. Vovelle'a, charakteryzująca mentalność rewolucyjną (Messidor). Oczywiście, prace te są jedynie zwiastunem całej serii wydawnictw, które będą się ukazywać w ciągu najbliższych czterech lat.

Rocznice mijają jednak dość szybko, historycy zaś kontynuują swą codzienną pracę. Jej efektem jest kapitalne studium zespołu autorskiego, poświęcone dziełom administracji francuskiej („Les Affaires étrangères et le Corps diplomatique français”, red. J. Baillou, CNRS 1984). W kolejnych rozdziałach,



miast i miasteczek, wygłaszając 212 przemówienia. W efekcie przywiózł do Lublina 53 000 dolarów. Zbiórka zorganizowana wkrótce potem przez Szapirę w miastach Polski przyniosła 300 000 zł.

Majer Szapira podczas pobytu w Ameryce dał się poznać jako zaangażowany, lojalny obywatel młodego państwa polskiego. Cenił marszałka Piłsudskiego, wyrażał się o nim wobec przedstawicieli prasy amerykańskiej jako o „polskim Waszyngtonie”. Warto jednak chyba przede wszystkim zacytować — za „The Montreal Daily Star” (nr 129 z 1927 r.) — jego słowa, gdy przyjechał do Kanady: „Polska (...) pragnie pokoju i żyć w zgodzie ze wszystkimi narodami, ale utrzymuje, naturalnie, najlepsze stosunki z tymi, które nie mają agresywnych względem niej zamiarów. Ten dążeń chce utrzymać tak dla swego prestiżu jak i przez to, że ma on wielkie znaczenie polityczne i gospodarcze”.

„Gdziekolwiek był w Ameryce — doda w siedem lat później, Hilel Seidman — wszędzie głośną sławę młodego państwa polskiego. Na każdym zgromadzeniu w wielkich ośrodkach żydowskich za granicą rzucał ważne słowo w obronie Rzeczypospolitej, którą propaganda niemiecka starała się przedstawić w świetle niekorzystnym. Rabin Szapira odpiął te oszczerstwa i swym autorytatywnym słowem prostował rozsiane fałszy”.

22 maja 1924 r. położono kamień węgielny pod gmach przyszłej Jesziwy Mędrców Lublina, a prawie dokładnie sześć lat później, dwudziestego ósmego dnia miesiąca Sywan, roku 5690, to znaczy 24 czerwca 1930 r., odbyło się uroczyste otwarcie uczelni. Dziennik „Ziemia Lubelska” donosił, że tego dnia zebrały się na ulicach miasta nieprzeliczone tłumy. Witano przybywających z całej Polski znakomitych rabinów i cadyków; za dorożką wiozącą słynnego cadyka z Czortkowa biegli rozentuzjasmowani chasydzi, którzy zgotowali także owację przybyłemu na uroczystość wojewodzie Remiszewskiemu. Policja piesza oraz konna miały pełne ręce roboty, jako że obawiano się zamieszek: Bund, a także miejscowe organizacje syjonistyczne bojkotowały imprezę. Ukazały się ulotki protestujące przeciw „ciemnocie religijnej” i „dyktaturze kołpaków”, wołające: „precz z klerem żydowskim”.

W uroczystości poza wojewodą Remiszewskim uczestniczyli m.in.: starosta Banaszkiewicz, burmistrz Piechota, dowódca II D.O.K. gen. Dobrodziński; z Warszawy przyjechał przedstawiciel Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego, Tchórznicki, z Wiednia — dr Kohn.

Po odegraniu hymnu narodowego wygłoszono przemówienia w języku hebrajskim, jidysz i polskim. W imieniu rządu przemawiał wojewoda Remiszewski powołując się m.in. na pamięć o działalności Berka Joselewicza oraz tych członków rabinatu, którzy w czasie Powstania Styczniowego współdziałali z polskimi partyzantami, jak np. rabin Majzels...

Pięciokondygnacyjny gmach lubelskiej Jesziwy przedstawiał się — jak na ówczesne czasy — niezwykle okazałe. Miał z rozmachem zaprojektowane pomieszczenia dla celów dydaktycznych oraz mieszkalnych, był skanalizowany, wyposażono go w centralne ogrzewanie. Oprócz kuchni dysponował także własną łaźnią i piekarnią. Obok kuchni znajdowała się wielka, licząca trzydzieści metrów długości, jadalnia dla uczniów. Na wysokim parterze znalazły pomieszczenia: kancelaria i biura uczelni, dwie wielkie czytelnie oraz specjalna sala, w której stał wielki model świątyni jerozolimskiej.

Po wygodnych schodach wkraczało się na I piętro, którego znaczna część zajmowała aula wykładowa z otaczającą ją z trzech stron galeria. Aula była zarazem bóżnica Jesziwy. Obok ołtarza stał ołtarz, pięknie wykonany świecznik, ofiarowany przez gminę żydowską w Przemyślu. Z auli wchodziło się do sali konferencyjnej, sali bibliotecznej; dalej były pokoje dla gości oraz niewielkie mieszkanie dla rektora uczelni. Biblioteka Jesziwy liczyła (w 1934 r.) 13 tysięcy tomów. Zbiór ten — z dziedzin literatury rabinicznej — bogaty w liczne „białe krukli” i bezcenne rękopisy, miał stać się, według zamierzeń ra-



Fot. Arkadiusz Karoń

bin Szapiry, zaczął budowę przyszłej światowej biblioteki tego rodzaju.

Wyższe piętra budynku przeznaczono na internat.

Nauka w Jesziwie trwała cztery lata, studiowało w niej 100—130 uczniów. Na czele uczelni stało Kolegium Rabinów będące kierownictwem duchowym i naukowym. Jesziwą kierował rektor, wybrany przez Kolegium, mający do pomocy Radę Pedagogiczną. Egzamin dyplomowy zdawano w obecności Kolegium Rabinów, absolwent otrzymywał dyplom, dopiero w przyszłości, w miejscowości, w której się osiedlił, mógł być wybrany rabinem...

Dzień rozpoczynał się w lubelskiej Jesziwie o godz. 5.30 — był wypełniony modlitwami, wykładami i repetycjami, a kończył — późnym wieczorem. Wyjątkowo pilni słuchacze, tzw. „masmidim”, jeszcze długo po wygaszeniu świateł elektrycznych w gmachu uczelni, siedzieli nad księgami przy wątłym blasku świec...

Rabin Majer Szapira, niestety, nie doczekał dnia opuszczenia wzniesionej przez siebie uczelni przez pierwszych absolwentów. 23 października 1933 r. wieczorem poczuł się źle. Wezwany lekarz nie stwierdził podstaw do niepokoju, postawił diagnozę: angina. Stan zdrowia chorego pogarszał się jednak z każdym dniem, mimo że lekarze byli ogólnie dobrej myśli. Wreszcie nadeszła noc z 26 na 27 października...

„O godz. 2-ej w nocy — pisze Hilel Seidman — rabin każe się przenieść do wielkiej sali przyjętej Uczelni. Zauważywszy płaczącą małżonkę pyta się: „Czego płaczesz, wszak teraz zaczyna się prawdziwa radość?” Następnie każe uczniom wypić „Lechajim” („Na zdrowie”) i tańczyć. Ostatnimi wysiłkami woli uczniowie starają się spełnić życzenie rabina, a on porusza w takt martwiejącą ręką. Pojedynczo uczniowie usuwają się i wybiegają do bóżnicy odmawiać psalmy i błagać Boga o ratunek dla ukochanego Nauczyciela. Odgłosy płaczu i zawożenia dotarły do pokoju konającego rabina. Przywołuje jednego z uczniów i nakazuje: „Tylko radośnie...”

Były to ostatnie jego słowa. W chwilę później

wielka dusza rozstała się z ciałem. Tak doszło do kresu — niby zachód pięknego dnia Jom Kipur — życie R. Majera Szapiry.”

Majer Szapira zmarł 27 października 1933 r. w wieku 46 lat zaledwie.

„A działo się to o godzinie 4-ej w nocy z czwartku na piątek, dnia 7 miesiąca Cheswan, roku 5694.”

Nie miał szczęścia — jak się rzekło — rektor Szapira uczestniczyć w pierwszej promocji absolwentów uczelni, w dniach 18—22 lutego 1934 r., kiedy to w rocznicę śmierci Mojżesza, w miesiącu Adar, pięćdziesięciu uczniów Jesziwy Mędrców Lublina otrzymało dyplomy „Cerwa d'Rabanan”. Miał jednak także szczęście, iż nie danym mu było oglądać zagłady czterdziestu tysięcy lubelskich Żydów w ramach „akcji Reinhard”, nazwanej tak „na cześć” Reinharda Heidricha, szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, zgładzonego przez czeski ruch oporu. „Akcją Reinhard” kierował osławiony Odilo Globocnik...

Dziwnym zrzędzeniem losu zagładę Jesziwy Mędrców Lublina i zagładę lubelskich Żydów przetrwały zbiory biblioteczne Wyższej Uczelni Rabinackiej. Niemcy włączyli je do zbiorów organizowanej w Lublinie Staatsbibliothek. Znalazły się one (wraz z częścią książek z bibliotek polskich) w magazynach Biblioteki im. H. Łopacińskiego. Do wiosny 1943 r. księgozbiór dawnej Jesziwy opracowywał i katalogował przychodzący z getta rabin. Pewnego dnia więcej się już nie pojawił...

Co się stało dalej z tymi książkami?

Po zakończeniu wojny przekazano część ocalałego księgozbioru Komitetowi Żydowskiemu. Dalej — trop się urywa. Nie potrafiono mi nic na ten temat powiedzieć w Żydowskim Instytucie Historycznym w Warszawie, który byłby najodpowiedniejszym miejscem do pomieszczenia tego księgozbioru.

Czy istnieje gdzieś jakiś ślad po księgozbiórze zgromadzonym rękami rabina Majera Szapiry, pierwszego rektora Jesziwy Mędrców Lublina? Na to pytanie warto znaleźć odpowiedź.

poświęconych administracji centralnej, służbom zagranicznym oraz działaniom dyplomatycznym, nakreślono obraz aktywności francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych. Jest to wydawnictwo szczególnie cenne dla badaczy dziejów dyplomacji tak francuskiej, jak i międzynarodowej.

Nie sposób charakteryzować i streszczać książek nawet tylko z jednej dziedziny. Zainteresowanego czytelnika wypadnie odesłać do piśm specjalistycznych, w których z pewnością ukaza się obszernie recenzje. Tymczasem warto zasygnalizować druk nowej pracy J. Droza, znanego historyka francuskiego poświęconej rozwojowi ruchu antyfaszystowskiego w Europie lat 1923—1939 (La Découverte 1985) oraz obszernie studium o wybitnym dziejopisie francuskim, E. Guizot (P. Rosanvallon, „Le moment Guizot”, Gallimard 1985).

Salon Książki różni się od targów nie tylko tym, że można od razu zakupić interesującą nas pozycję. Wydawcy prezentują cały swój dorobek. Dlatego na półkach obok nowości stoją również te książki, których nakład nie został wyczerpany. Praktycznie można więc dostać wszystkie dostępne w danym momencie pozycje. Niezależnie od tego, ile razy odwiedzi się Salon Książki, zawsze, szczególnie polski czytelnik, wychodzi oszołomiony. Nie, nie tylko liczba zgromadzonych wydawnictw, ale ich jakość. Co to za przyjemność, gdy bierze się do ręki książkę, która nie rozpada się przy pierwszym rozłożeniu, nie mówiąc już o papierze, materiale ilustracyjnym, wspaniałych, także pomyslowych książeczkach dla dzieci itp. itd. Rzeczywiście w takiej chwili nasuwa się pytanie: kiedy u nas zmieni się coś w tej dziedzinie?

Na zakończenie warto nadmienić, iż prasa paryska przygotowała się do Salonu bardzo starannie. Już w dniu inauguracji można było otrzymać specjalne wydania „Le Monde”, „Le Matin”, „Le Quotidien”, „La Croix”, „Libération”. Ten ostatni dziennik wystąpił z bardzo ciekawą propozycją. Postanowiono zapytać pisarzy całego świata, dlaczego piszą? Pomysł nie był oryginalny, bo jak podkreślają autorzy, po raz pierwszy ankietę taką przeprowadzono w 1919 r. Jej rezultaty ogłoszono na łamach „Littérature”, a na pytania odpowiadał jedynie pisarze francuscy. Tymczasem świat bardzo się zmienił, pojęcie Europy mocno zawężyło, a młode narody zaczęły tworzyć własną literaturę. Dlatego w nowej ankiecie nie można było ograniczyć się do starego kontynentu. W rezultacie opublikowano odpowiedzi 400 pisarzy, które można traktować jako autoprzetrzet współczesnej nam literatury. Jest to pasjonująca lektura. Dla przykładu kilka wypowiedzi. J. Borges oświadczył, że po prostu nie jest w stanie powstrzymać się od pisania, a pisze wtedy, gdy odczuwa taką potrzebę. Cz. Miłosz stwierdził iż pisze, by spróbować wyrazić wszystko to, co nas otacza. Czuję się tak jak podróżnik, który wspina się na szczyt, ale dalej widzi następny — wyższy. A. Moravia, który zaczął pisać jako szesnastoletni chłopiec, ciągle odczuwa konieczność pisania. A. Kuśniewiczowi pisarstwo sprawia przyjemność, choć zaczął je uprawiać dość późno...

Michał Korzan

## SPÓŹNIONA MIŁOŚĆ

Ta miłość się spóźniła  
o kilka rozstań lat tygodni  
o parę milionów sekund  
czekania niespełnienia  
samotnych nocy  
nieobecnością twego ciała wypełnionych  
o pakiet rozczarowań tęsknot zawodów  
o kilka warstw zbutwiałych liści  
w naszym parku w naszym lesie  
o monadę ciepła i nadziei  
z naszych serc utraconą  
o tę odrobinę wytrwałości czekania  
której nam nie stało Także jasność  
twoich oczu coraz bledsza bledniejszą  
o poranku rezygnacji  
i ten twój uśmiech  
smutny zadumany za który kiedyś dawno  
omal nie wyruszyłem na najkrwawszą z wojen  
Już nawet nie wspomnę o konkretach  
o beztłostych realiach Za późno  
o tych dwoje ludzi  
ufnie nieświadomych  
co obok nas układają  
szarocichą mozaikę  
swego szczęścia spokoju  
z drobnymi okrucichów  
naszych istnieć kroków oddechów  
jęków rozkoszy bezsilnych szlochów  
chwili zadumy nieobecnej kęsów chleba  
co polykamy z naszych uśmiechów  
w zamyslenie otulonych  
przyprószonej goryczą  
niespełnionej pieszczoty



Kobieta i śmierć to najkosztowniejsze poście,  
jacy zjawiają się na fieste świata.

Carlos Fuentes

**W**CZESNIEJ niż zwykle położyłem się do łóżka. Kto wie, może to przeziębienie, może nawet mam gorączkę, chyba że przesadziłem z wermutem. Wsparły wysoko na poduszkach przyglądam się miejscu, gdzie powinna tkwić olbrzymia tafla lustra, i widzę tylko nieco jaśniejszą od tła matową powierzchnię, spoglądam na sufit, ale może to, co dostrzegam, jest tylko lichą krykaturą niebieskich zasłon przy balkonowych drzwiach hotelowego pokoju; trudno odróżnić trudno przeniknąć mrok, meblową milczenie, pograżoną we wszechwiedzy rzeczy martwych sypialnie.

W końcu dałem sobie z tym radę i nareszcie ty także mogłaś zacząć się rozbiierać. Czekam. Na-

nie widzę dobrze, ale ciekawe, co to może być? Tymczasem otwierasz kilka szuflad, coś tam układasz, coś wyjmujesz. Jakies twarde przedmioty spadają na stół, inne obijają debową płytę komody.

Cały zwracam się ku tym wszystkim szelestom, spieczonym oddechom i tłumionym syknięciom. Usiłuję rozpoznać cię w rozmazanym, ginącym zbyt szybko cieniu. Ale ty jesteś nieuchwytna, choć kiedy indziej kontakt z tobą może być taką samą niespodzianką jak ugryzienie kamienia. Należałoby zaliczyć cię do tych owoców, które — jeśli komuś w ogóle podoba się ten typ — kuszą nieodparcie, by je spróbować a doprowadzają, niestety, do rozpacz, kiedy się skosztuje: bo smakują jak potrawy we śnie, jak powietrze.

Kiedy byłem z tobą w czerwcu... nie, w lipcu, bardzo gorącym, pewnego wieczoru zostałam sama w pokoju Karolki. Już wtedy byłam chuda i

Wciąż jesteś w ruchu. Słyszysz doskonale mi znane dźwięki, gdy szcokujesz włosy. Zaraz potem kaskady wody spływają do umywalki. Przedem jeszcze szelest zdejmowanej sukienki. Teraz mówu; nie rozumiem, ile rzeczy zdejmujesz z siebie. Pozbyłaś się już pantofli, ale twoje ponoczocho wciąż spacerują tam i z powrotem po dywanie. Nalewasz wodę do szklanki — trzy razy pod rząd. Nie mogę sobie wytłumaczyć po co. Od czasu do czasu próbujesz jeszcze dojrzeć, co też ja takiego robię. Wszystko to przypomina mi zabawę w układanie dekoracji. Ale w miłości prawdopodobnie wszystko staje się powoh ozdoba i gdyby tylko ludziom pozwolić, kazaliby najcenniejsze posagi wszystkich świętych przerobić zwykłym stolarkowi na kolumniki łóżka, a potem czuliby się na tym posłaniu przyjemnie wywyższeni i wcale nie przygnieceni. Miłość jest przecież taka, jaki jest człowiek: wysoki, gruby, mały, czysty, krzywy, nieprzyjemny. Ale jest to jego miłość. Najdziwniejsza rzecz jaka istnieje.

W nocy z 24/25 napisałam, że jestem pijana i wzięłam signopam. Czy to wtedy pocięłam sobie nadgarstek? Skuliłam się w ciemnej kuchni, pod zlewem, z gardłem pełnym rozpacz. Czekalam na ciebie. Tak dostownie i maczej.

Wtedy na autostradzie też mógł być wypadek, ale zabrales mnie stamtąd. Najgorsze, że nie widziałam w tym żadnego nieszczęścia, nawet jeżeli jakiś samochód pomógłby mi się wzbic w przestworza.

Kiedy jeszcze? Jak mi nie chcieli dać wziętki. Poszłam na tory. Zaplakana. Ale jakiś kolejarz w porę mnie zbluzgał i przepędził.

Ja w moim wyobrazeniu od dawna skończyłem już ze wszystkim wyobraźnym, podczas gdy ty wynajdujesz w rzeczywistości wciąż coś nowego do zrobienia. Wciąż manipulujesz szczegółami. Słysz, na przykład, jak wkładasz nocną koszulę. Ale na tym bynajmniej nie koniec. Znowu wykonujesz sto różnych czynności. Wiem, że spieszysz się przez wzgląd na mnie; czyli wszystko to jest najwidoczniej konieczne, należy do najbliższej sfery twego JA, w którą zagłębiasz się od rana do wieczora przy pomocy niezliczonych ruchów, a do której nie dociera nawet szelest mego oddechu.

R, przestrzegaj mnie, że biorąc ślub z kobietą, przyjmuje się na siebie jej osobę ze wszystkimi zewnętrznymi jak i wewnętrznymi okolicznościami stosunku do niej, zarówno szkodliwymi, jak i przydatnymi, wszystko razem. Tak jak jest. Moje życzenia niczego już potem nie zmieniają. Mam bowiem taką, a nie inną orientację, tak jak ktoś ma na przykład ciemne włosy i niebieskie oczy. Mogę też spokojnie oglądać rzeczy szkodliwe, a nawet przerażające. To mój kaprys wprowadza mnie w taką sytuację i mam prawo, ba, muszę wierzyć, że mnie przeprowadzi. Tak więc ewentualne małżeństwo nigdy nie może stanowić rozwiązania, lecz zawsze tylko postawienie problemu, pod którego nowym znakiem kroczy teraz odnośna para.

Sylwia wcale nie była zwichrowana. Tak ją sobie nawet wyobrażałam. Mówi dużo, bo chce opowiedzieć całe swoje życie za jednym zamachem. To mierz innych, mnie nie, bo jestem podobna. Odwiedziła mnie kiedyś w szpitalu. Konfitury wisniowe były pyszne. Zawsze to jakaś nowa twarz, odmiana.

Codziennie jadłam zupę i amizepin, robiłam na drutach i klóciłam się z lekarzami. Ich oskarżenia, że podawano mi coś z zewnątrz, były obraźliwe. Spałam słodko już po jednym zastrzyku, ale dawali mi w tyłek jeszcze inne, dla pewności. Wypisali mnie w poniedziałek. Przyszła po mnie siostra... i już wtedy byłam w domu.

Wszystko to odczuwam zupełnie przypadkowo, ponieważ mam gorączkę, jestem po wermucie, no i czekam na ciebie.

# Świeży liść

Marek Dąbrowski

słuchuję. Prawdopodobnie nie słyszę właściwie, niemniej jednak na swój sposób zawsze słyszę prawdę. Teraz słyszę tylko ciebie.

Tamtej nocy obcinałam włosy po ciemku, obojętnymi nożyczkami, w zupełnej czerni. Na koldrę spadały proste kosmyki, a moja głowa nareszcie stawała się coraz lżejsza i lżejsza. Potem starałam się nieudolnie oczyścić pościel. Ścinki włosów, jak druciki, wysuwały mi się z paleców. Koldrę wywlokłam na balkon i chwając się, wytrzepywałam ją kłami nabalkon i chwając się, wytrzepywałam ją niezdarnie. Pamiętam, że w desperacji poszarpałam nożyczkami rękę. I polknęłam naraz wszystkie lekarstwa. Leżąc pod koldrą czułam, że tam w środku płyną drobne strugi krwi, jednak tak naprawdę były to tylko nikle czerwone prążki; zupełnie jakbym sięgala w głąb jezyna. Półprzytomna odciągnęłam cię od telefonu. Wiedziałam, że to minie, jak tylko się wyśpię.

Nie rozumiem tych kroków tam i z powrotem; zbyt osaczają, aż szumi mi w głowie. Powtarzają się raz w tej, to znowu w innej części pokoju, wywołując natrętne szumy i zawirowania powietrza. Teraz podchodzisz i kładziesz coś na swoim łóżku;

mieściłam się w stare dżinsy i wąską sukienkę bez rękawów. Leżałam sobie wygodnie w tych właśnie ciuchach i wpatrywałam się w jakiś punkt na suficie. Cholernie podobało mi się słabe światło lampki i to, że było tak cicho. Czułam się jakaś taka czysta, fizycznie także. Wtedy właśnie napisałam te głupotki, bo podeszłam do lustra i zająrzałam w głąb tafli, w głąb ciemnego szkła. Więc: Ja mam wielkie żrenice, Ja lubię jabłka, Ja się boję, Ja słucham muzyki. Ja. Ja. Ja popatrzyłam na siebie w lustrze. Ja zobaczyłam ja? ja? Ja. Lubię Ja. Taka sobie jestem...

Myślę, że kiedy zniknie mój lęk, będę Ja. Będę Ja!

Później sprowadziłam tych ludzi do twojego domu; jakie więc, mój Boże, jeszcze śmiałam mieć żale do ciebie? Chodziłam ciągle z przymglonym mózgiem, ale tamten wieczór to była już potworność z mojej strony. Czemu się nie sprzeciwiłam? Mogłeś strzelić mi w twarz, sam jednak wzięłeś, też, jak my wszyscy. Razem wzięliśmy. Niestety. Tak było.

Jeszcze później spaliśmy ze sobą. To był pierwszy raz mój i twój, ale to ty uczyłeś mnie jak rozchyłać uda, albo podciągać nogi. Byłam tak bardzo zdenerwowana i wdzięczna.

Janusz B. Roszkowski

## W OBROTACH CIAŁ

Z twoich młodych, jeszcze nie ciążyących w dół piersi muszę wycisnąć sok, zrobić z niego wino i nie czekając aż dojrzeje — spić całą jego cierpkość, całą słodycz... Już samą tą myślą chyba się upiłem! Język mi się płacze i widzę podwójnie, potrójnie, poczwórnie, wielorunnie! Widzę cię z przodu, z boku, z tyłu, pode mną, przy mnie, nade mną, leżącą, klęczącą, wyprostowaną, naga pod wszystkimi sukienkami, naga pod moim spojrzeniem — piersi, brzuch, biodra, przepaścisty zad, który ujeżdżam aż się pieni bok, aż z twego gardła dobywa się rżenie!

Rozkołysane twoimi rękoma, o dzwony, dzwony mego serca, jakby chmury uniosły się w podmuchu wiatru i zarżały wszystkie konie w mieście na znak, że już czas, już czas przygotować ślubną wyprawę: koldry z muśnięć jaskółczego skrzydła, prześcieradła haftowane słońcem, wszystko, wszystko, czego zapragniesz, ale żadnych zbyt kłownych strojów — jesteś przecież moją królową, więc okrywaj się własną nagością! Oto welon z rozżarzonych mgławic, gdzie ze stopu niewygasłych gwiazd odlewane są, twoimi rękoma, dzwony, dzwony mego serca... O zawrotne kręgi ciszy, o chmury skrzydlate, rżące konie, niewidzialne ptaki, wszystko, co wibruje w twoim drzeniu, co kielkuje, rośnie, wydaje owoce: jestem przecież teraz twoim królem, bo nagością swą przykryłaś moją nagość!

Przelatują nad nami kopyta, chmury, gwiazdy, wirujące słońca, gdy ciągnięty przez spłoszone konie spada w przepaść Wielki Wóz, a ty widzisz błyszczące podkowy,

jakieś skrzynie, kufrы, koszyki, wstążki, broszki, róże z papieru, nawet to, czego wcale nie widać: unoszące się zarodniki traw, po których z mazole będą kiedyś wspinają się mrówki, gdy ja, uczepliwszy się chmur, badam intensywność plam na słońcu lub w wybuchach dalekich gwiazd szukam potwierdzenia końca świata! Chodź mój miły, zarżniemy koputa, pierwsza kropla da początek łożu, w nim odbije się księżyc w nowiu — księżycowi trzeba się pokłonić...

Twoją piękność, Panno, tylko ja znam — zakwita pod moją dłońią i jak obraz, który rozsada ramy płótna, jaśnieje przede mną w blasku tysiąca świec... To jest sala balowa, a to taniec, pies płacze się pod nogami, muzyki nie słychać, chciał anioł na pianonie dmie donośnie w trąbę, a po obu stronach sali stoją muzycanci i trzymają w rękach swoje instrumenty. Amorki, róże i baraszkujące łowy, popiersia na postumentach pokryte złotym pyłem, panowie zpięci w ukłonach, tajemnicze maseczki, piącający się pod nogami pies, bezgłośna muzyka. Twoja piękność, Panno, należy do innej epoki, do tej sali balowej, jaśniejących świec, ale także do czasu, którym oddychają wiosenne burze, i do ognia, który płonie pod powierzchnią naszych ciał.



# Legenda Wieniawskiego



Irena Filus



kała, w rodzinnym mieście artysty, gdzie już dawno powinien był stanąć wspaniały pomnik ku czci jego — dzisiaj po Henryku Wieniawskim nie ma ani śladu. W końcu jednak metryka chrztu Henryka, jak również jego ojca i braci, została odszukana i znajduje się obecnie w urzędzie parafialnym kościoła katedralnego w Lublinie. 10 lipca 1835 roku to niepodważalna data urodzin przyszłego artysty.

Ciekawe, jak potoczyłyby się losy muzycznego dziecka, gdyby nie pozycja rodziny Wieniawskich. Wykształcenie i rozmówcy w sztuce, z chwilą odkrycia talentu Henryka mogli pozwolić sobie na zapewnienie mu najlepszych nauczycieli. Wysłanie ośmioletniego chłopca do Paryża świadczyło o konsekwencji działania. Popis końcowy w Konserwatorium Paryskim przyniósł młodemu skrzypkowi pierwszą nagrodę i pierwsze pochlebne opinie w prasie. Dwunastoletni Henryk Wieniawski zaczął komponować, a z chwilą, kiedy przyłączył się do niego również uzdolniony młodszy brat Józef, grający na pianinie, na koncertach prezentowali także i te nowe utwory.

Triumfalna podróż obu braci przez świat rozpoczęła się w Paryżu. W 1848 roku w sali Saxe dali swój pierwszy koncert, potem wyjechali do Petersburga, gdzie rezydował car Mikołaj I, protektor Henryka. Podróż braci Wieniawskich to jedno pasmo sukcesów. Wylizanie wszystkich miast, w których wystąpili, i wszystkich zachwyty, jakie wzbudzali, zabrały wiele czasu, toteż ograniczmy się do najważniejszych.

Rok 1851 to słynne „kontrakty” w Rosji. Stanisław Moniuszko, działający wówczas w Wilnie, wyraża się o Henryku: „Laczy on ścisłe siłę Lipińskiego z tkliwością Ernsta i z humorem Paganiniego; a co do wykonania mechanizmu — jednego Vietana z nim tylko porównam”.

W Wiedniu Henryk Wieniawski dzieć się musi względami publiczności z Teresą Milanollo, młodą skrzypkawką, która tak dalece potrafiła przesłonić świat czołowemu krytykowi wiedeńskiemu Hanslickowi, że ani słówkiem nie wspomina on o koncertach polskiego wirtuoza. Rok 1854: dziś aż trudno uwierzyć, że w Berlinie staczano wtedy walki o bilety wstępu. Jedynie we Lwowie, dokąd wyjechali bracia po raz pierwszy wiosną 1857 roku, prasa potraktowała ich niezbyt przychylnie, sugerując konieczność dalszego kontynuowania studiów dla „uzupełnienia gry”. Na jesieni tego samego roku polska pianistka i muza artystów, Maria Kalergis, pisze z Baden-Baden do córki: „Wieniawski jest dzisiaj pierwszym wirtuozem świata. To genialny talent w typie Liszta. Jego 22 lata obiecują nam wspaniałą przyszłość. Grałiśmy w trójkę kwintet Schumanna i w końcu słynne wariacje Beethovena w jego nowym cudownym opracowaniu”. Wieniawski zdobywa przyjaźnię: w Holandii Aleksandra Desfosseza, któremu zawdzięczamy studium o uwielbianym skrzypku, w Paryżu — Antoniego Rubinsteina, z którym daje kilka świetnych koncertów.

W Londynie występuje w nieco innej roli. Muzyka solowa nudzi Anglików, oni uwielbiali kwartety, toteż za pośrednictwem Towarzystwa Kwartetowego im. Beethovena Wieniawski występuje wraz ze swymi sławnymi kolegami — Joachimem, Ernestem i Plattem, grając na altówce. Londyn okazał się miastem szczęśliwym dla Wieniawskiego z innego jeszcze powodu. Znalazł tam swą przyszłą żonę, Izabelę Hampton. Po ślubie,

który odbył się w 1860 roku, państwo Wieniawscy osiedli w Petersburgu, gdzie Henryk otrzymał nominację na „Soliste J.C. Mości i soliste teatrów cesarskich”.

Pewien rodzaj stabilizacji życiowej nie oznaczał jednak rezygnacji z wyjazdów za granicę (Nadrenia, Londyn, Rumunia, kraje skandynawskie i zawsze przychylny mu Paryż). Z początkiem lata 1869 roku Wieniawski gra na dworze sultana Abdula-Azisa w Konstantynopolu. O tym przedziwnym koncercie wzmiankuje „Gazeta Polska”, według której Wieniawski odegrał dla sultana 22 utwory dostał zawrotne honorarium 200 liwów w złocie.

Rok 1872 to wielkie tournée koncertowe po Stanach Zjednoczonych: W San Francisco, gdzie pozostał blisko rok, wydano broszurę w języku angielskim, poświęconą sztuce Wieniawskiego. I znowu Europa, praca pedagogiczna w Konserwatorium w Brukseli i seria koncertów, aż do pamiętnego w Berlinie, na dwa lata przed śmiercią, podczas którego zasłabł i stracił przytomność. Zmarł w 1880 roku.

Za jedną z ostatnich kompozycji Henryka Wieniawskiego uważa się Réverie na altówkę z akompaniamentem fortepianu. Reiss twierdzi, że była ona lądzim śpiewem artysty, ale kto wie, ile dzieł, mógłby jeszcze stworzyć, gdyby nie przedwczesna śmierć.

W dorobku Wieniawskiego są utwory wielkiego formatu, są też kompozycje salonowe, chętnie jednak wykonywane przez artystów. Najważniejsze, że wiele z nich przetrwało próbę czasu. Wieniawski kroczył po drodze, na której spotykał wiele znakomitości. Pewne nazwiska nadal się pamięta, ale są też takie które przypominają się przy okazji wspomnień o... Wieniawskim. Nazwisko słynnej skrzypkaczki Milanollo trudno odszukać w encyklopediach, choć Henryk, zachwycony jej grą, zadeptykował artystce swój Capriccio-Valse op. 7. Lambert Massart przedstawiany jest przede wszystkim jako profesor Konserwatorium Paryskiego i nauczyciel znanych skrzypków, m.in. Wieniawskiego. O bracie Józefie, mimo że był zarówno pianistą jak i kompozytorem, któremu wrócono wielką karierę, najczęściej mówi się wspominając młode lata Henryka. A lubelskiego skrzypka zna cały świat. Jego Etiudy-Kaprysy op. 10 i 18, obydwa koncerty skrzypcowe: fis-moll i d-moll, Legenda op. 17, Mazurki, Polonezy D-dur i A-dur, Scherzo-Tarantella op. 16, Wspomnienie z Moskwy czy Wale-Kaprysy op. 7 weszły na stałe do światowego repertuaru i utrwaliły się w nagraniach takich sław, jak Jacques Thibaud, Michael Rabin, Igor i Dawid Ojstrachowie, Itzhak Perlman, Jascha Heifetz czy Jehudi Menuhin. Co więcej, dla wielu z nich utwory Wieniawskiego były kluczem do kariery. Perlman, dla przykładu, debiutował w 1963 roku w nowojorskiej Carnegie Hall, grając I koncert skrzypcowy Polaka. Dawid i Igor Ojstrachowie, Julian Sitkowiecki, Wanda Wilkomirska, Sidney Harth, Kaja Danczowska byli laureatami pierwszych nagród na Międzynarodowych Konkursach im. H. Wieniawskiego.

I gdyby nie te ostatnie, można by zaryzykować twierdzenie, że na ciele żywa sława Henryk Wieniawski zapracował sobie sam. Bo biorąc pod uwagę liczebność jego rodziny (Henryk miał czterech braci i pięcioro dzieci), wypada zauważyć, że tylko bratanek Adam — kompozytor i pedagog, był dyrektorem Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego — uczynił dla swego wujka duzo, organizując w 1935 roku w Warszawie I Międzynarodowy Konkurs Jego imienia. Reszta rodziny nie bardzo dbała o pamięć

po skrzypku. Julian Wieniawski-Jordan opublikował w 1911 roku swoje wspomnienia pod tytułem „Kartki z mego pamiętnika”. Zona Izabela Hampton, napisała o prawdzie pamiętnik, ale nie potrafiła dopilnować dokumentów i rzeczy Henryka, które skradzione jej podczas podróży Profesor Józef Reiss miał więc nielatte zadanie, przygotować monografię. Obok uzupełniającego albumu Władysława Duleby jest ona jedynym wyczerpującym opracowaniem i choć napisana nieco przestarzałym językiem, ciągle stanowi źródło jedynych informacji o Wieniawskim. Źródło na dodatek trudno dostępne w... antykwaratach. Ciągłe tylko tam, choć podobno mamy w Polsce Rok Wieniawskiego i pragnęliśmy przez ten rok jeszcze bardziej upowszechnić tego muzyka. Tymczasem niech ktoś spróbuje kupić w sklepie takiś koncert lub inne utwory w partiturach bądź na płytach! Wprawdzie Towarzystwo Muzyczne im. Wieniawskiego w Poznaniu, włączając do siebie obowiązki koordynatora imprez związanych z obchodami 150 rocznicy urodzin skrzypka, zapowiada płytę kasety koncerty publikacje, a nawet serial TV o Wieniawskim, ale na razie jakoś tego wszystkiego nie widać. Marzy mi się, by choć za rok przy okazji konkursu, pojawiło się w Poznaniu stoisko z muzykami a la Wieniawski.

Na własnym podwórku: Filharmonia Lubelska przygotowała koncert, który stał się wydarzeniem. 10 lipca, dokładnie w 150 rocznicę urodzin wielkiego skrzypka, wystąpili tam Konstanty Kulka i Zbigniew Zienkowski... Myślę przy tym, że Polska cała i może trochę świata z uwagą śledzić będą na jesieni III Międzynarodowy Konkurs Młodych Skrzypków w Lublinie. Biorąc pod uwagę coraz większe zainteresowanie imprezą, można powiedzieć, że nasze Towarzystwo Muzyczne trafiło z pomysłem w dziesiątkę. Zresztą należy się Towarzystwu pochwała również i za to, że przyjąwszy imię Wieniawskiego, konsekwentnie realizuje wszystkie związane z tym obowiązki. Dzięki staraniom działaczy stanął w Lublinie pomnik Henryka Wieniawskiego, na siedzibę Towarzystwa pozyskano część kamienicy, w której skrzypek się urodził. Ale tu znowu nasuwa się smutna dygresja. Ile to już tramentu wypisano na temat tego, że Wieniawski powinien znaleźć swoje godne miejsce w mieście, w którym się urodził. Przecież władze kulturalne Lublina miały świadomość zbliżającej się rocznicy! Gdyby cała kamienica została zagospodarowana, można by w niej wykępować wspaniałe zbiory, organizować koncerty w kameralnej sali, no i przede wszystkim godnie przyjąć gości konkursu.

Za 50 lat obchodzić będziemy rocznicę 200-lecia urodzin Wieniawskiego. Miejmy nadzieję, że może wtedy wejdziemy do pięknie odrestaurowanego wnętrza.

Zdjęcia reprodukowal Arkadiusz Karoń.



# Wysoka Izbo!

**T**YM zwyczajowym zwrotem rozpoczął przemówienie w Senacie, 12 marca 1938 roku, Wojciech Jastrzębowski — wybitny artysta i działacz społeczny, pedagog i autor głośnych wystąpień na forum publicznym, niejednokrotnie drukowanych w czasopiśmie „Głęboko przekonany, że sens sztuki spełnia się w kształtowaniu czy oznaczaniu życia codziennego, zajmował się właściwie wszystkim, co można określić mianem plastyki użytkowej: projektował wnętrza, meble kilimny, plakaty, grafikę książkową, monety i medale, witraże, wystawy, rzeźbiarskie tablice pamiątkowe. Jego dziełem były wnętrza polskich placówek dyplomatycznych w Moskwie (1928) i Berlinie (1932), niektóre pomieszczenia statków „Pilsudski” i „Batory” ale i kompozycja monet: 1, 2, 5, 20 i 50-groszowych, w nieco zmienionej postaci przeniesiona z projektu 50 zł w złocie, który przyniósł mu I nagrodę w konkursie Mennicy Państwowej na pierwsze monety odrodzonej Polski (1922). Uprawiał też malarstwo sztalugowe i rysunek.

Legionista a następnie uczestnik kampanii 1920 roku; profesor, prorektor a wreszcie (1938—1939) rektor warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych — był więc Jastrzębowski autorytetem i w świecie artystycznym, i w życiu społecznym, co dodatkowo potwierdza fakt powołania go na stanowisko dyrektora Departamentu Sztuki w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (1928—1930). W roku 1935 autor litografii barwnej „Portret Józefa Piłsudskiego na koniu” (wykonanej z okazji wymarszu I Brygady), ołów w tym czasie Jastrzębowski dostąpił szczególnych zaszczytów: odznaczenia Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski i nominacji na senatora RP. Nie ulega wątpliwości, że artysta cieszył się pełnym zaufaniem władz państwowych.

We wspomnianym przemówieniu z 12 marca 1938 roku Jastrzębowski poruszył kilka ważnych kwestii, determinujących sytuację zawodową i bytową artystów oraz społeczno-ekonomiczną pozycję sztuki w Polsce, wskazując na wstępnie m.in. na poważne niedostatki w systemie estetycznej edukacji młodzieży w ogólnokształcących szkołach średnich, w których zniesiono naukę rysunku. Stwierdził przy tym, polemizując z innym senatorem, że celem tego przedmiotu nie powinno być „wyszukiwanie nowych talentów”, ale „nauka patrzenia, spostrzegania i zbliżania młodzieży do tych zagadnień kultury plastycznej, bez których cywilizowany człowiek obyć się nie może”. I dalej:

„Talentów w Polsce nie zabraknie, wyszukiwać ich na razie nie trzeba, zjawiają się one niespodziewanie, nawet w najbardziej nie sprzyjających warunkach. Skarżyć się natomiast należy, że jeśli taki talent na utrapienie rodziny i na przekór możliwościom finansowym Ministerstwa się znajduje, to los jego w Polsce od zarania aż do grobowej deski — jest ciężki. Ciężki, to za mało — to los tragiczny. Mecenasa prywatnego taki pomazaniec dziś nie znajduje wobec ubóstwa, lub specjalnego nastawienia naszego społeczeństwa. Jedynym mecenasem dziś z konieczności musi być Państwo, zatem Minister Oświaty, a jest to mecenas twardy. Stypendium dla takiego młodego artysty, jeśli jest w Akademii Sztuk Pięknych, czy też w Konserwatorium, jest zwrotne. Zwrotne nie dziełem swego talentu i umiejętności, lecz zwrotne żywą gotówką w dwa lata po opuszczeniu uczelni. Ileż tragicznych zalamań musi nieraz przeżyć taki młody artysta wolno praktykujący, który mając z jednej strony już kilka sukcesów w postaci odznaczeń i nagród w kraju i za granicą, a nie mając możliwości zwrotzenia pobranego kiedyś stypendium, musi żyć pod ciężarem tego honorowego długu. Jakże chętnie ten młody muzyk, malarz, rzeźbiarz, lub też aktor oddałby ten dług w naturze. Odspiewałby to stypendium w szkole powszechnej, czy średniej, odmalował lub odrzeźbił dla salonów Ministerstwa lub innych urzędów państwowych. Sprawa stypendiów zwrotnych dla artystów wymaga rewizji, gdyż artysta w Polsce, to prawdziwie wolny zawód”.

Stwierdzając, że, i owszem, ogólny budżet Ministerstwa Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego od trzech lat wzrasta, Jastrzębowski porównał nakłady finansowe, jakie w ramach resortu przeznaczono na poszczególne dyscypliny artystyczne w latach 1930/31 oraz 1938/39. I tak plastyka otrzymała odpowiednio: 483 000 zł — 70 000

zł, literatura i teatr: 703 000 — 180 000, muzyka: 600 000 — 65 000. Na stypendia w pierwszym okresie wydatkowano 220 000 zł, w drugim już tylko 96 000, fundusz zakupów dzieł sztuki opiewał początkowo na 170 000 zł, by po ośmiu latach spaść do poziomu 17 000. Środki budżetowe na konserwację zabytków zmalały z 450 000 do 90 000 zł.

„To nie jest już dno kryzysu — komentował senator — to są symbole, są to pozycje i symboliczne złotówki, z którymi doprawdy nie wiadomo co począć i ilekroć patrzę na działalność kierownika Wydziału Sztuki przy Ministerstwie W.R. i O.P., p. dra Zawistowskiego, wytrawnego i pełnego inicjatywy znawcy naszych potrzeb kulturalnych i estetycznych, to zdumiewam się, skąd czerpie on te siły optymistyczne, które w tych warunkach pozwalają mu gospodarzyć”.

Wspomnijmy przy okazji, bo rzecz to ze wszech miar pouczająca a potocznie mało znana, że wymieniony przez Jastrzębowskiego Wydział Sztuki wywodził się z instytucji o daleko wyższej randze, Otóż jesienią 1918 roku, już na progu II Rzeczypospolitej, utworzono Ministerstwo Sztuki i Kultury (tak właśnie, a nie: Kultury i Sztuki, jak dzisiaj brzmi nazwa resortu), które w intencjach inicjatorów i zgodnie z euforią „pierwszych dni wolności” miało wreszcie wprowadzić w materię życia zbiorowego mił sztuki polskiej — „heroicznej pocieszycielki”, oazy tożsamości narodowej i najwyższych wartości ducha. Realizacją tego postulatów zajął się Zenon Przesmycki „Miriam”, krytyk i koneser sztuki, który w swych pierwszych wypowiedziach publicznych łączył pomysłowość polskiej kultury artystycznej z opieką państwa, co zresztą zrozumiałe w sytuacji ministra — etatowego wszak funkcjonariusza administracji. Ale jednocześnie Miriam był wyznawcą „sztuki ponadczasowej, ponadinstytucjonalnej”. Jak to zgrabnie zreferowała Joanna Pollakówna<sup>1)</sup>:

„Sprawy sztuki w jego pojęciu miały być izolowane od pozostałych spraw państwowych. Wysoka godność Ministerstwa nie mogła być narażona na szwank przez firmowanie instytucji nie dość szacownych — wyzbyto się więc na rzecz Prezydium Rady Ministrów teatrów na kresach zachodnich i wschodnich. Teatry warszawskie, jako stojące na zbyt niskim poziomie, stracono do rangi teatrów miejskich. Zamknięto warszawską Szkołę Sztuk Pięknych, a Akademię Sztuk Pięknych w Krakowie oddano pod nadzór Ministerstwa Oświaty. Zbiory państwowe znajdujące się w zabytkowych zamkach przeszły w gestię Ministerstwa Robót Publicznych. Miriam redukował z wolna agendy swego Ministerstwa, a zarazem dążył do rozbudowania aparatu urzędniczego, projektując np. tworzenie we wszystkich stolicach europejskich ambasad sztuki o bliżej nieokreślonym zakresie zadań, wydawał dekrety takie, jak zakaz wysadzania dróg owocowymi drzewami w ochronie piękna pejzażu”.

To nawet intrygujące: promotor twórczości Norwida, miłośnik czystej urody krajobrazu, przeciwnik rządów państwa w świecie sztuki — Miriam ujawnił się jako patron biurokracji!

Ze stanowiska szefa resortu Przesmycki ustąpił w 1920 roku i wtedy też agendy Ministerstwa Sztuki i Kultury przekazano Ministerstwu WRIOP, by dwa lata później ostatecznie zlikwidować MSiK, redukując je do Departamentu Sztuki w ramach „wyznań i oświaty”. Dyrektorem tego „ekwiwalentu” został Julian Falat, który wprowadził wręcz rewelacyjny tryb urzędowania: w znanych restauracjach stolicy, gdzie w atmosferze pełnego zbratania biesiadował z malarzami, aktorami, pisarzami i z prasą, „Ze wszystkimi był na »ty«, wszyscy byli zachwyceni »kochanym dyrektorem«”. Trwało to jednak krótko.

Departament cierpiał na chroniczny brak pieniędzy i innych mocy; warunki uprawiania twórczości w Polsce pogarszały się z biegiem lat. Zwracano na to uwagę w czasopiśmie „szkiełkowane drogi wyjścia z impasu, odpowiednio memoriały — jak ten z 1928 roku — kierowano do Prezydenta Rzeczypospolitej, Sejmu i Rządu. Juliusz Kaden Bandrowski apelował do posłów na Sejm — byłych legionistów, by stanęli w obronie sztuki, później zaś, pod wpływem dramatycznego wystąpienia pośta podhalańskiego, poety Feliksa Gwiżdża, opublikował w „Głosie Prawdy” słynny artykuł, w którym wyliczył, że z funduszy Departamentu na zakup dzieł sztuki można było nabyć u schyłku lat trzydziestych „12 średniej wielkości obrazów”, albo „jedną średniej wielkości rzeźbę odlaną w

brązie — na rok”! Te głosy nie miały wpływu na realny bieg wydarzeń, który oddalał też w bliżej nieokreślonej przyszłości postulowaną odbudowę Ministerstwa Sztuki i Kultury, co zresztą zaznaczył w wywiadzie dla „Sztuk Pięknych” sam Jastrzębowski, jako trzeci z kolei dyrektor Departamentu. Po nim stanowisko to objął Władysław Skoczylas — by po 15 miesiącach złożyć dymisję, protestując w ten sposób przeciwko następnej degradacji Departamentu: do roli Wydziału Sztuki w wiadomym ministerstwie. Solidarność z decyzją wybitnego grafika i organizatora wyraziło 34 artystów: plastyków, pisarzy, muzyków, architektów, 17 września 1931 roku kierując na ręce ministra WRIOP pisemne oświadczenie, w którym m.in. „pozwalają sobie zwrócić uwagę rządu na krytyczny stan, w jakim znalazły się sprawy kultury narodowej w Polsce”. W delegacji, która złożyła ów tekst w resorcie, był również Wojciech Jastrzębowski.

Siedem lat później senator RP podnosił właściwie te same „sprawy kultury narodowej”. Kontynuując wystąpienie, stwierdzał:

„Nikłość naszego budżetu należy uwydatnić zestawieniem z podobnymi pozycjami innych państw. Dla przykładu weźmy teatr; gdy Państwo Polskie na ten cel przeznaczają zaledwie 100 000 zł rocznie, to Czechosłowacja około 2 milionów; milionowe sumy na ten cel przeznaczają również Węgry i Jugosławia, nie mówiąc już o wielkich państwach zachodnich, z którymi porównanie byłoby już zbyt żenujące. Ten sam stosunek 1 do 30, a nieraz 1 do 100 dotyczy wszystkich pozycji. Lecz dość cyfr. Zajrzyjmy do naszych uczelni artystycznych, zobaczymy salę starożytnego gmachu Konserwatorium, gdzie w ciasnocie, w salach nieizolowanych nie sposób należy i równocześnie nauczać i prowadzić ćwiczenia. Zobaczymy gmach Akademii Sztuk Pięknych w Warszawie, podarowany Państwu przez p. Eugeniusza Kierbedźową, a zbudowany dla 80 do 100 młodzieży, a w którym obecnie pomieścić się musi 400 studium”.

Warte przypomnienia są też konstatacje Jastrzębowskiego na temat ograbiania kraju z dzieł sztuki dawnej, spowodowanego m.in. brakiem środków na zatrzymanie ich w naszych muzeach:

„Lata powojenne wzmogły falę legalnego i nielegalnego wywozu z Polski najświetniejszych dzieł sztuki, a w pierwszym rzędzie obrazów starych szkół, powodując niepowetowane niczym straty. Dla przykładu wymienię: straciliśmy obrazy mistrzów tej miary, co Dürer (dwa obrazy), Tycjan Tintoretto, Guardi, Memling, Holbein, Cranach (pięć obrazów), Van Dyck, Rembrandt (dwa obrazy), Hals (sześć obrazów), Fragonard, Ruisdał, Martini, Bellini i wielu innych. Dorzucić do tej listy strat należy dzieła przemysłu artystycznego, arrasy, gobeliny — nieraz europejskiego znaczenia. Tej niszczylielskiej fali nie zdołają opanować nasze muzea, które dysponują znikomymi sumami na zakupy tego rodzaju. Niezbędnym jest utworzenie państwowego funduszu wykupowego, którego istnienie przez kilka chociażby lat ocalić mogło dla naszej kultury istniejące jeszcze w Polsce arcydzieła sztuki europejskiej, jak również przyczynić się do powstania muzeum dawnej sztuki o ogólnoświatowej sile atrakcyjnej”. [...]

Przemówienie Jastrzębowskiego w Senacie wydrukował krakowski „Głos Plastyków” z czerwca 1938 roku. W tym samym numerze zamieszczono też „List z Warszawy” Tytusa Czyżewskiego, w którym malarz, poeta i krytyk zauważył z sarkazmem: „Niedawno czytałem w dziennikach, że pewien senator malarz „ośmielił” się na sesji senackiej zabrać głos w sprawie melloracji i organizacji spraw naszej sztuki. Wystąpienie jego zostało zbagatelizowane i wszyscy (zajęci zresztą według swego mniemania „ważniejszymi sprawami”) przeszli nad sztuką do „porządku dziennego”. Takich wypadków mamy w naszym życiu „kulturalnym” dużo”.

Zniechęcony bezskutecznością swoich apeli, Wojciech Jastrzębowski ustąpił z Senatu — w tymże roku 1938..

IJK

PS. Zadanie matematyczne dla uczestników ok. 199 plenerów plastycznych, jakie odbędą się w tym roku w kraju, kosztująco średnio ok. 600 tys. zł każdy; ile razy kwota prawie 1 miliarda złotych, która w 1983 r. wyda się w Polsce na plastykę tylko ze środków administracji państwowej, przewyższa de facto nakłady resortowe na ten cel w latach 1938/39? Zachęca się do stosowania przy obliczeniach nawet bardzo wysokiego stopnia inflacji i dewaluacji oraz do uwzględnienia faktu, że mamy dziś bodaj sześciokrotnie więcej plastyków dyplomowanych niż przed wojną (ale i dość rozległy, nie znany wcześniej rynek na plastykę użytkową).

1) Joanna Pollakówna: Ministerstwo Sztuki i Kultury, w: „Polskie życie artystyczne w latach 1915—1939”, Ossolineum 1974, ss. 546—550.

**Poczta literacka**

Czesław W. Suliszów woj. tarnobrzeckie. Niektóre z Pańskich frazsek nawet udane. Większość jednak porusza tematy powszechnie nadużywane w satyrze drukowanej. Jeśli Pan spostrzeże kiedyś, że „Kamena” zwiększyła objętość, albo stała się tygodnikiem, prosimy o kontakt.  
Lech M. Głazyko. Tak się Pan natrudził, a efekty marne. Ani to ładne, ani dowcipne.  
Dorota W. Krasnik. Najczęściej w Pani wierszach obecna jest ochrona przyrody. Pięknie. Im temat jednak bardziej powszechny, tym trudniej go ukazać nawet doświadczoneму poecie. Sam onis to za mało,

Proszę Pani zresztą zbyt rozwieleć. Warto się potrudzić, gdyż wrażliwość poetycka Pani posiada. Jest więc na czym budować pewne nadzieje. W takich przypadkach zachęcam moich korespondentów, aby za jakiś czas przesłali mi swoje nowe (i lepsze!) utwory. Kieruję także zaproszenie także do Pani.  
Marek Ch. Kraków. Przypominam sobie dawniejsze przesyłki Pana. W obecnej chwili w wielu wierszach choć po kilka interesujących wersów. Najbardziej spodobał mi się „Białe niepokój”:  
Męczelzna  
biała laska

x kobieta  
zielone oczy  
Wszystcy porażeni  
„ze też ona...”  
Ida obok  
już bliżej nie można  
Zielonooka  
blisko biały niepokój  
Wiele wierszy napisał Pan jednak  
dbałe, bez głębszej myśli i polotu.

TJ



# DOTYK

Michał Rey

**P**ARANORMALNE predyspozycje Stanisława Nardellego ujawniły się przypadkowo w początku 1979 roku. Fakt ten skłonił go do sięgnięcia w przeszłość i wyszukania z niej innych zdarzeń będących jakby zapowiedzią późniejszej działalności bioenergoterapeutycznej. Trudno dziś ocenić walory faktograficzne jego relacji. Zwłaszcza, że od opisywanych zdarzeń minęło wiele lat. Posądzanie jednak Nardellego o prentyzm nie wydaje się stosowne i trzymać się trzeba raczej zasady fide bona.

Podczas pobytu w USA, w styczniu 1984 roku wspominał:

[...] Mając trzy czy cztery latka wpadłem pod kopyta koni, ciągnących do tartaku ciężki wóz z balami drewna. I nietknięty wyszedłem z tego. Mając siedem lat przeżyłem tragedię z moim młodszym braciśkiem, Miciem. Chciał wy dostać rzuconą w krzaki, w czasie zabawy z dziećmi, piłkę i w rezultacie zdarł cały paznokieć palca wskazującego prawej ręki na leżącej tam stłuczonej butelce. Zakaził się też. Lekarze nie rokowali żadnej nadziei. Wtedy jeszcze nie stosowano zastrzyków antytężcowych. Matka szalała z rozpacz. A ja, nie zdając sobie sprawy z sytuacji, dotykałem, z ciekawości, twarzy braciśka, jak gdyby mi nieznanej. Ku zdziwieniu wszystkich brat wyzdrowiał i już po trzech dniach bawił się na podwórku. [...]

Podobny przypadek zdarzył się Stanisławowi Nardellemu, gdy jego, półtoraroczna wówczas, córka Marietta uległa ciężkiemu poparzeniu. W szpitalu przy ulicy Rudzkiej w Rybniku stwierdzono III stopień poparzeń i ze względu na młody wiek dziecka i rozległość ran nie dawano specjalnych nadziei. Nardelli czuwał przy łóżeczku dziecka, nosił je na rękach, pragnąc ukołić ból. W ciągu miesiąca córka wróciła do zdrowia, a rany goiły się bardzo szybko ulegając zabliznieniu, co do postaci niemal niewidocznej, co uznano za niepospolite zdolności regeneracyjne młodego organizmu.

Kolejny casus pochodzi z 1958 roku. Nardelli przebywał wówczas w oddziale urologicznym szpitala uzdrowiskowego w Szczawnie-Zdroju. Jego sąsiadem z pokoju był Jan K., od dłuższego czasu cierpiący na mocznicę. Stanisław Nardelli otoczył go opieką. Powiedział mu poduszkę, ocierał pot z czoła. Po kilku dniach, ku zdziwieniu lekarzy, pacjent ów zaczął chodzić, nie uskarżał się na dolegliwości, aktywnie udzielał się w życiu towarzyskim uzdrowiska...

W 1972 roku nastąpiła nagła choroba Wandy Nardelli, żony przyszłego bioenergoterapeuty.

[...] bardzo wyraźne wzdęcie brzucha, obfite torse znamionowały skręt jelit. Do czasu przybycia pogotowia robiłem wszystko, by jej ulżyć. Razem pojechaliśmy do szpitala i byłem z nią cały czas. Spędziłem z nią nawet ostatnie minuty przed operacją, cały czas dotykając jej ciała. Tuż przed zabiegiem, ku ogromnemu zdziwieniu chirurga Jana S., objawy skrętu kiszki ustąpiły. Określił to wydarzenie, jako... pierwszą w swoim życiu. Po godzinie znalaz-

łem się w domu wraz z żoną, a w trzy dni później wypoczywaliśmy w Krynicy. [...]

Niemal identyczny przypadek zdarzył się siostrą Stanisława Nardellego. Zapadła ona na skręt jelit, czego nie rozpoznano odpowiednio wcześniej. Dopiero po silnym ataku bólu odwieziono ją do szpitala. Tam trafiła od razu na oddział chirurgiczny. Zdesperowany mąż, po przewiezieniu chorej do szpitala, zjawił się u Nardellego prosząc o pomoc. W kręgu rodziny praktyki p. Stanisława były już znane. Nie odmówił on prośbie i natychmiast udał się do szpitala.

[...] Siostra leżała już na sali przedoperacyjnej, przygotowana do zabiegu. Nie było nikogo, więc przekraczając wszelkie przepisy, podbiegłem do niej. Nie poznawała mnie. Nie wiem, ile czasu minęło. Może dziesięć minut. Trzymałem ręce na jej wzdętym brzuchu, aż usłyszałem kroki i trzeba było się wycofać niepostrzeżenie. Operacja trwała tylko 40 minut. Skręt kiszki bowiem ustąpił, a otwarto brzuch żeby to tylko sprawdzić. [...]

Jeszcze innym casusem było ustąpienie pod wpływem dotyku bólu w stawie kolanowym kontuzjowanej nogi Wandy Nardelli. Przez dłuższy czas, po wypadku, nosiła na nodze opatrunk gipsowy. Po zdjęciu gipsu chodziła na zabiegach rehabilitacyjnych, które nie przynosiły rezultatów. Lekarze oświadczyli, iż należy usunąć lektokę. Podczas wizyty w domu Nardellich koleżanki żony padła w żartach propozycja, aby „Staszek złapał Wandę za kolano”. Stało się i kolano przestało boleć. Po kilku dniach żona mogła poruszać się bez kul. Naturalnie od zabiegu operacyjnego odstąpiono.

Wydarzenia te, komentowane zresztą coraz szerzej przez rodzinę i znajomych, musiały budzić refleksje Stanisława Nardellego. Rodziła się świadomość nadnaturalnych predyspozycji. Tyleż zaskakująca, co niewątpliwie frapująca i pociągająca.

Zdarzeniem o przełomowym — jak podkreśla Nardelli — znaczeniu było dopomożenie osobie spoza kręgu najbliższych. Pielęgniarka przychodząca robić zastrzyki p. Stanisławowi zjawiła się kiedyś z silnie opuchniętą ręką. Nardelli w odruchu współczucia pogląskwał ją po opuchnięciu. Po dwóch godzinach pielęgniarka przyszła ponownie z radością oznajmiając, że po opuchnięciu nie ma śladu, a ból ustąpił. Było to w początku 1979 roku.

W tym też mniej więcej czasie Nardelli napotkał w numerze 9/1979 „Literatury” artykuł Rosy Bailly „Moje zwycięstwo nad rakiem”. Treść tekstu, będącego hymnem na cześć metod niekonwencjonalnych w leczeniu, poparta zresztą sugestywnym przykładem własnego autorki, wywarła niewątpliwie wpływ na dalsze działania p. Stanisława. W artykule wiele miejsca poświęcono roli dłoni w przekazywaniu bioenergii, lecz także uczuć, emocji. Musiało to przemawiać do Nardellego i nasuwać skojarzenia z właściwościami własnego dotyku. Zapewne na wyobraźnię „domowego uzdrowiciela” oddziaływał także przykład Clive'a Hargisa, słynnego bioenergoterapeuty an-

gielskiego, niosącego pomoc tysiącom ludzi (z którego usług korzystało np. wielu moich tego świata).

Jak napisze Nardelli w swojej książce „W kręgu biopola”: Pewnego dnia uswiadomiłem sobie ze zdumieniem, że tak często używany przez nas zwrot „podaj mu rękę”, znaczy po prostu pomóc.

Również w 1979 roku Nardelli trafił do kolobrzskiego sanatorium „Mewa IV”, gdzie leczył się przede wszystkim cukrzyca.

[...] Zylem nieśmiałą początkowo myślą, że mam przed sobą znakomitą okazję, aby się sprawdzić. Zaczęłem też nieśmiało, prosząc pacjentów o dyskrekcję, ale później w miarę upływu dni, kiedy w kolejce do zabiegu ustawiali się również pracownicy sanatorium i lekarze, nabrałem pewności siebie, która wyciszyła mnie wewnętrznie i spotęgowała umiejętność koncentracji. W czasie pobytu w Kolobrzegu wykonałem około 200 zabiegów... [...]

Ten debiut przeszedł wszelkie oczekiwania. Kolejki do Nardellego rosły, wiele osób odczuwało poprawę. Po raz pierwszy zetknął się też z tym, co miało mu towarzyszyć później bez przerwy: z ludzką nadzieją, łzami, radością z nikłej poprawy, eksplozjami szczęścia z ustąpienia objawów estyma wobec swojej osoby. Wchodził na zupełnie inną orbitę społecznego funkcjonowania, po której poruszał się już odtąd do końca życia.

Po sukcesach na Pomorzu Stanisław Nardelli postanowił szukać możliwości kształcenia technik przekazu energii. Poszukiwania te zawiodły go m. in. do Poznania, do tamtejszej Akademii Medycznej. Poznał w niej dr. med. Fikreta Ismail-Zade, pochodzącego z Azerbejdżanu. Specjalista ten miał bogate doświadczenia z nieklasycznymi metodami leczenia, przekazywanymi zresztą w jego rodzimym czterech pokoleń. Jego ojciec i dziad byli profesorami medycyny. Praktykowali m. in. z akupunkturą i akupresurą. Doktor Ismail-Zade przyjął Nardellego bardzo życzliwie i potraktował serio. Przeprowadził wiele badań, obserwował seanse, sam się im poddawał. Pobyt w Poznaniu zakończył się zachętą udzieloną tyszanińcowi i przygotowaniem dla niego modelu akupresury bioenergetycznej.

Kontakt z azjatyckim lekarzem (1980) był kolejnym — jak można przypuszczać — znaczącym krokiem Nardellego w kierunku bioenergoterapii zorganizowanej, przemyślanej, koncepcyjnej, a nie — jak dotąd — intuicyjnej. Dobrze się stało, że miał do czynienia z człowiekiem Wschodu, a więc wyedukowanym na innych koncepcjach filozoficznych i kanonach medycznych. Jest w nich miejsce na teorie przepływu energii, obcych nauce europejskiej i nie dających się naukowo objaśnić. Mimo tej bariery poznawalności np. akupunktura w Azji funkcjonuje, rozwija się i z powodzeniem przeszczerpia się na inne kontynenty, w tym naturalnie — europejski. Charakteru energii Yang i Yin, ani jej parametrów Europa nie potrafi określić, a mimo to akupunktura okazuje się być nader skuteczna. Taki lub zbliżony tok rozumowania mógł dotyczyć również leczenia „nakładaniem rąk”, metody też nieobcej medycznej wiedzy i tradycji Wschodu.

Kończąc drugi odcinek cyklu poświęconego Stanisławowi Nardellemu wypada zacytować sugestywną i nie bez pewnej literackości oddaną w jego książce refleksję na temat dłoni. Dłoni, które stawały się niezbywalną składową jego fenomenu.

[...] utrwalone w pamięci ciepłe dłonie matki, pieszczące pewnie i szorstko dłonie ojca, dotyk najbliższych i kochanych, pierwszej miłości i dziecka, dotyk życzliwego nieznanego i przytrzymany uścisk przyjaciela, dotyk wielkiego człowieka, urzekającego swoją osobowością, tak że aż kontempluje się tę dłoń i ten moment. Oni wszyscy przypomnieli mi, że najszczęśliwsze zapamiętane chwile wiązały się w moim życiu z tym zwykłym ludzkim gestem [...]

(Ciąg dalszy nastąpi)

W odcinku wykorzystano m. in. Stanisław Nardelli „W kręgu biopola”, Katowice 1984; Wiesław Książek, Tomasz B. Pochroń „Nardelli, człowiek ostatniej nadziei”, Chicago 1984; Zofia Mierzyńska, Leszek Gil „Nardelli w Chicago”, Chicago 1984.

# Baszta pełna słońca

**N**AKŁADEM Wyd. Lubelskiego ukazała się kolejna powieść Apolinarego Nosalskiego, autora poczytnych książek dla młodzieży: „Opowieści znad Piwonii” (1977), „Prawdę w oczy” (1978) i „Przyjazd króla jego mości” (1980). „Słońce nad basztą” wprowadza czytelnika w świat polskiej prowincji drugiej połowy XVI wieku, czasy panowania Zygmunta Augusta. Na kanwie ważnych dla Polski wydarzeń historycznych (zawarta w Lublinie 1 lipca 1569 roku unia polsko-litewska) autor snuje perypetie bakalarza parczewskiej szkoły, Jana Swiderskiego. Narrator subtelnie i ze solidnym spokojem maluje obraz Parczewa, Lewartowa (dziś: Lubartów) wreszcie Lublina. Nauczni jesteśmy, że „złoty wiek” to przede wszystkim Kraków — życie, kultura, światłość dworu królewskiego, potem długo, długo nie... ciemnota prawie pańszczyźnianej wsi. Przeto z dużym zainteresowaniem sięgamy po książki o dawnej świetności pomniejszych miast i miasteczek, po przystępnie zbeletryzowane dzieje swoich miejsc, zamieszkania, po fakty znane dotychczas tylko naukowcom i pasjonatom-szperaczom.

Oceniać można trzy płaszczyzny tej powieści: językowa, historyczna i obyczajowa. Można wyrażać uznanie dla swobody, z jaką autor operuje realiami historii, dla trafności doboru rekwizytów epoki, dla walorów, które snawiała, że książka ta może być np. przewodnikiem do kornatych lubelskiego zamku. Ale największą wartość tej powieści jest chyba jej walor patriotyczny. Przybliża świetność Polski Jagiellonów, ale także mówi o tej kulisach, o zawłóciach dyplomatycznych, które nie bez trudu i mądrości króla należało pokonać, by do zawarcia unii polsko-litewskiej doszło. By skutecznie rzadzić tak ogromnym państwem. Wdzięczna to lektura. Wydarzenia następują wartko, dynamicznie, a staropolska stylizacja języka jest jeszcze jednym walorem dydaktycznym: zmusza młodego czytelnika do uświadomienia sobie, na ile język współczesny różni się od języka XVI-wiecznego. Jak piękna polszczyzna kiedyś mówiono... Słuz temu słowniczek archaizmów, tłumaczy, zachęca. Z sympatią obserwujemy humorystyczne czasem, czasem ciekawym poważnym, przesycone nauczyciela szkółki parafialnej, donaturując się współczesnym odniesień. Wprawdzie projektor oświatowej krajiny się zmienił, ale trudności z brakiem podręczników i nam nie są obce. A zaszczytna pozycja nauczyciela w społeczeństwie?

Książkę Apolinarego Nosalskiego czyta się jednym tchem, bratając się przy okazji z nie byle kim, bo z dworzaniem króla, miłośnym imię panem Janem Kochanowskim, Jana Swiderskiego bakalarza towarzyszem podróży, poetą znanym. On to tak skomentował powszechną radość i pojednanie towarzyszące zawarciu unii polsko-litewskiej, gdy „w powszechnym zbrataniu się Polacy i Litwini, mieszczanie i szlachta padali sobie w objęcia”, zaś niektórzy „plakali, wcale się tego nie wstydząc:

— Bo i wedle powszechnego życzenia dzieło dokonane zostało, z ujmą tylko dla garści uprzywilejowanych i dla ich pychy. Stąd owo gaudium” (łac.: radość).

Minusem książki A. Nosalskiego, nieco zilustrowanej przez Stanisława Baldyę, jest jej stosunkowo niski nakład: 99 tys. egz. Tego typu powieści dla młodzieży jest ciężko za mało! Warto, by były w każdym domu. By uświadomiły naszym dzieciom, że nawet najmniejsze polskie miasteczko ma swoją historię, swoją kulturę, także narodową.

Czekamy na dalsze książki Apolinarego Nosalskiego, napisane tak godną polszczyzną, jak „Słońce nad basztą”.

Anna Koziółkiewicz

Apolinariusz Nosalski: Słońce nad basztą. Wyd. Lubelskie 1984, str. 124.



# Soczysty Dżem

**C**ZŁONKOWIE zespołu Dżem nie przybie-  
rają pożywkę gwiazdorów. Obecnie jest im też  
pojęcie tradycyjnie rozumianej kariery,  
łączącej „mimoходом” z dużym szama-  
nem. Ryszardowi Riedelowi i jego paczce bardziej  
zależy na samej muzyce — nieskrępowanej żadnymi  
ramami stylistycznymi, etykietkami i estradowym  
szpanem. Bo Dżem to przede wszystkim ży-  
wioł. Może dlatego długo traktowano go jako  
zespół z pogranicza amatorskiego zrywu i under-  
groundu, choć żadną miarą muzycy amatorami nie  
są. Poziomem reprezentowanego warsztatu mogli-  
by przyćmić niejedną okrzykaną gwiazdą (typu  
Kombi). Jednakże dopiero niedawno, praktycznie  
po sześciu latach zmagania z przeciwnościami losu,  
udało się Dżemowi nagrać pierwszy longplay. Jego  
realizację poprzedziło wydanie sensacyjnej, kon-  
certowej kasety prywatnej firmy „Karolina”. Ona  
pierwsza doceniła nieprzeciętne walory kapeli z  
Tych.

Ryszard Riedel — wokalista, autor tekstów i  
niekwestionowany przywódca duchowy Dżemu —  
utrzymuje, że cała sześciolatekna przygoda wzięła  
się z potrzeby serca. Chłopcy rwali się do grania,  
choć na dobrą sprawę brakowało miejsca na pró-  
by i profesjonalnej aparatury. Kiedy zakładał z  
kolegami zespół, nie liczył na szybki sukces i  
umieszczenie własnych fotek na okładkach bar-  
wnych magazynów. Pasjonował go blues, wysłuchi-  
wały setki razy z płyt Johna Mayalla, Petera,  
Greena, tudzież rodzimych Breakoutów. Blues był  
dla niego i kolegów wymarzoną idealną mu-  
zyką, inspirującym do własnych, niekoniecz-  
nie najwyższego lotu, prób i zmagania. Nie wahali  
się więc spotykać po pracy w piwnicach, czy na  
zapleczu restauracji, by chwyciwszy instrumenty  
szlifować bluesową formę. Bliżsi i dalsi znajomi  
pukali się w czoło, uważając kompanię Riedla za  
nawiedzonych maniaków. Bo czy w tym czasie  
ktoś poza samymi zainteresowanymi, mógł wie-  
rzyć w spełnienie ich snu o profesjonalnym graniu  
i obecnej kondycji warsztatowej?

Dżem mimo różnorodnych przeszkód i kilkakrot-  
nych gróźb całkowitego rozpadu nie poddał się  
zwątpieniu. Co prawda skład kilkakrotnie ulegał  
zmianie, ale jest to przecież prawidłowość w zycio-  
rysie każdego eksperymentalnego zespołu. Riedel

chciał mieć przy sobie dobrych muzyków, wierzą-  
cych w możliwość przebic się. Kiedy firma  
chyliła się ku upadkowi, Rysiek zgodził się być  
technicznym w Kwadracie, byle tylko nie stracił  
kontakty z muzyką.

Pierwsze uznanie zdobył z Dżemem podczas  
Festiwalu Muzyków Rockowych w Jarocinie. Do-  
strzegł go fachowiec z branży i dziennikarz, któ-  
rzy nazwał Riedla największą nadzieją wokalną  
festiwalu. Już wtedy kapela „szyla” całkiem  
sprawnie, wykonując własny repertuar. Jarocin  
niewiele jej jednak pomógł. Skończyło się na ofer-  
cie Tonpressu, dotyczącej nagrania premierowego  
singla. Przez parę lat „Paw” i „Whisky” były  
jedyną wizytówką fonograficzną dobrze zapowia-  
dającego się zespołu. Nadzieje na lepszy start nie  
mogły się jakoś ziścić, ale też członkowie Dżemu  
nie potrafili, lub nie chcieli zadbać o stronę rekla-  
mową własnych przedsięwzięć. Grał więc na ubo-  
czu, z dala od festiwalu, dużych sal koncertowych  
oraz środków masowego przekazu. Fani znali zes-  
pół z kameralnych, niekiedy okazjonalnych kon-  
certów adresowanych do najwierniejszych zwol-  
enników. Większość słuchaczy niewiele wiedziała o  
poczynaniach świetnej skądinąd grupy. Sporadycz-  
nie pojawiające się na antenie nagrania — „Bal-  
lada o malarzu”, „Kim jestem?”, „Dzień, w któ-  
rym pękło niebo” — zadawały kłopoty plotkom o  
rozwiązaniu Dżemu. Riedel trwał przy nim ciałem  
i duszą. Dosięgały go więc krytyczne opinie o  
ciągłej zmianie muzycznych zapachów i zdradzie  
bluesa na rzecz rocka i reggae. W istocie zespół  
nigdy od muzyki dwunastu taktów nie odstąpił i  
grając rocka czy reggae wciąż tkwił korzeniami w  
bluesie.

Lepsze czasy dla formacji z Tych zaczęły się od  
poznania z Marcinem Jacobsonem, ongiś kierowni-  
kiem organizacyjnym Krzaka i zespołu Martyny  
Jakubowicz. Jego niespożyta energia doprowadziła  
do rejestracji koncertu Dżemu podczas świnouj-  
skiej FAM-y. Kiedy pojawiła się możliwość wyja-  
zdu zespołu na koncerty w Berlinie Zachodnim,  
nie omieszkało z tej sznasy skorzystać, wzbudza-  
jąc tam nie lada zainteresowanie. Muzykę Dżemu  
oceniono niczym soczyste dźwięki amerykańskich  
kapel bluesowych z Południa. Rejestracja pierw-  
szego albumu dopełniła opinię o wejściu grupy do  
ścisłej czołówki krajowej.



Fot. Mirosław Makowski

Nie znaczy to wcale, że Dżem korzysta z każ-  
dej propozycji zdobycia pieniędzy i odrabia teraz  
kilkuletnie zaległości na trasach koncertowych i  
festiwalach. Bo Dżem jest odporny na sukces i  
fortunę. Muzykom nie poprzewracało się nagle w  
głowach. Nie uganiają się za supermodnymi ciu-  
chami, ani elektronicznymi klawiaturami synteza-  
torów. Nie zmienili nagle swoich upodobań, nie  
rzucili się w wir show businessu. Chcą pozostać  
sobą, grając może niezbyt modną, ale jędrną i  
diabło „rajcową” muzykę. Czują, że im się to  
uda. Rysiek Riedel potrafi dopiąć swego a muzycy  
z zespołu dzielnie go wspomagają. Myślę, że szer-  
sza publiczność zacznie zachwycać się nagraniami  
Dżemu po ukazaniu się wspomnianego longa. Tym-  
czasem już dziś jest to kapela pierwszego formatu.

Istvan Grabowski

## Rozbawiony Kazimierz

**J**UZ od dziewiętnastu lat, na przeło-  
mie czerwca i lipca, ściągają do Ka-  
zimierza nad Wisłą ludowi artyści z  
całego kraju, aby na festiwalowej  
scenie ubiegać się o najwyższe laury —  
„Baszty”, projektu profesora Bronisława  
Chromego z Krakowa. Oczywiście, do tego  
dochodzą także liczne nagrody pieniężne,  
stad też żartobliwie mówi się, że kazimie-  
rzowskie festiwale kapel i śpiewaków lu-  
dowych są nową formą dorabiania sobie na  
przedwiośnie.

Nagrody, chociaż liczne, nie są jednak  
głównym magnesem przyciągającym do Ka-  
zimierza ludowych grajków i śpiewaków.  
Sprawiają to zapewne w równej mierze:  
chęć rywalizacji z innymi, niepowtarzalna  
sceneria Kazimierza, którą wzbogaca swymi  
dekoracjami Adam Kilian, znakomita orga-  
nizacja festiwalu oraz uznana ich ranga.  
Faktem jest, że przed każdym festiwalem  
przedstawicielek organizatorów: Elżbieta  
Sendejewska i Krystyna Chruszczewska ma-  
ją nie lada problem, aby przyjąć wszyst-  
kich chętnych do wystąpienia na festiwal-  
owej estradzie.

Ten nadmiar zgłoszeń, kierowany do Lub-  
lina przez inne wojewódzkie domy kultury,  
chociaż uciążliwy, cieszy jednak organizato-  
rów. Powoli spełnia się bowiem generalna  
idea, która przywlecała przed laty organi-  
zatorom pierwszego festiwalu: lechowski roz-  
wój zespołów, kultywujących tradycję au-  
tentycznego folkloru. Ten zamysł był szcze-  
gólnie widoczny w roku bieżącym, gdy na  
estradzie pojawiali się dziaćkowie w towa-  
rzystwie wnuków i wnuczek. Jest to dowód,  
że obok muzyki rockowej i „Córki rybaka”  
na wiejskich wesołach znowu się śpiewa  
piosenkę „Czemuś mi, Jasienku, zabrał wła-  
neczek”.

Tegoroczny XIX Festiwal Kapel i Śpiewa-  
ków Ludowych zgromadził w Kazimierzu  
około półtora tysiąca muzyków, śpiewaków  
oraz ludowych rzemieślników, mających  
urzędowy status twórców, którzy sprzedawa-  
li swoje wyroby w czasie targów, będących  
impresją związaną nierozdzielnie z festiwalem.  
Na Rynku, jak i w latach poprzednich kró-  
lował kilianowski Kazimierz Wielki obok  
którego sprzedawano obrazki na szkło ma-  
lowane, drewniane Chrystusiki, pasterskie  
dzwoneczki, pięknie haftowane damskie bluz-  
ki oraz — po raz pierwszy w tym roku —  
podlaskie sękacze z kopy faj.



Na Rynek wkracza barwny, festiwalowy korowód. To znak, że za chwilę rozpocznie się festiwal.

Foto: J. Trembecki

Na Małym Rynku królowali tymczasem  
ludowi artyści. W konkursie oklaskowano:  
24 kapela, 12 instrumentalistów, 18 zespołów  
śpiewaczych i 15 solistów-śpiewaków. Oprócz  
tego odbyły się dwa punktowane konkursy:  
„Duży-Mały” w którego czasie mistrzowie  
prezentowali swoich uczniów i „Bosa Nóż-  
ka”, czyli pokaz wykonywania prostych  
instrumentów pasterskich i próby zagrania  
na nich. Były także liczne imprezy poza-  
konkursowe, z których na wyróżnienie za-  
służył występ litewskiego zespołu z Puńska  
w województwie suwalskim i widowisko  
obrzędowe „Straże grobowe” w wykonaniu  
mieszkańców Grodziska Dolnego w woje-  
wództwie rzeszowskim. W misterium ucze-  
stniczyła większość mieszkańców wioski, w  
tym cała młodzież przebrana w historyczne  
mundury wojskowe z konsekwencją przoro-  
bione ze współczesnych milicyjnych. Stąd  
też popularne w Kazimierzu powiedzenie

jednego górala: „Jak spotkacie takich ga-  
lantnych z gawerami, to się ich nie lękaj-  
cie, bo to ino artyści!”

Festiwalowe jury przyznało w sumie po-  
nad 60 nagród we wszystkich kategoriach.  
Wśród kapel nagrodę otrzymał zespół „Pod-  
hale” z Bukowiny Tatrzańskiej. Najlepszym  
zespołem śpiewaczym uznano „Gdowlanki”  
z Gdowa w Krakowskim. W kategorii so-  
listów-instrumentalistów „Baszty” otrzymał  
Władysław Cieślak z Cukrówki koło Szyd-  
łowca, a najlepszą śpiewaczką została Micha-  
lina Mroził z Przejądawia w województwie  
jeleniogórskim. Także i akredytowani przy  
festiwalu dziennikarze oraz redakcja festiwa-  
lowej gazety „Burczybas” ufundowali wola-  
ną nagrodę. Otrzymał ją kaszubski zespół  
„Kribana” z Brus koło Chojnic.

Większość wyjeżdżających z Kazimierza

zespółów opuszczala gościnne miasto w peł-  
ni usatysfakcjonowana. Nawet padający od  
czasu do czasu deszcz nie potrafił zepsuć  
znakomitej atmosfery festiwalowej. W nie-  
dzielę koncerty ogiadały nieprzełiczona lu-  
my. Wśród parkujących samochodów widać  
było pojazdy wycieczkowe z Zamościa z  
Tomaszowa Lubelskiego i Radomia. W po-  
łudnie na kazimierzowskim Rynku było tak  
ciężno że ludzie z trudnością poruszali się.  
Stolska z napojami i słodyczami wprost obie-  
gano. Było ich na szczęście sporo, bo tym  
razem naczelnik Andrzej Szczypta dotrzymał  
słowa i natężył zadbali o przyjezdnych  
gości. Nawet sklepy przemysłowe były czyn-  
ne przez całą niedzielę, co w naszym nie-  
nie mogącym handlu natężył uznać za ko-  
lejny festiwalowy osiągnięcie.

Kazimierz i awiek



## Ostrożnie z komputerami!

**U**NAS coś podobnego nie mogłoby się — na szczęście! — zdarzyć, bo w Polsce komputeryzacja znajduje się wciąż jeszcze raczej w powijakach, i kilku-nastoletni geniusze elektroniki szaleją, co najwyżej na podręcznych „kalkulatorkach”, zdolnych zaledwie do czterech podstawowych działań arytmetycznych. Ale co z tego, skoro w jakimś innym kraju, o nieporównanie szerszej rozwiniętej technice do komputera dorwie się jakieś zamorskie „cudowne dziecko” i — jak to pokazuje amerykański reżyser John Badham w filmie „Gry wojenne” — może doprowadzić nieomal do światowej wojny nuklearnej! Do wojskowego komputera dotrze odpowiedni sygnał, automatyczna aparatura uruchomi wyrzutnie rakiety wystartują do ataku; druga strona — podejmie kontratak. I — zacznie się!

Niemożliwe? Niewiarygodne? Otóż Badham — choć „Gry wojenne” to niby tylko filmowy fantastyczny dramat sensacyjny — dowodzi, że podobna sytuacja jak ta, która pokazuje na ekranie, ma szansę zaistnieć w rzeczywistości. Mimo całej precyzji myślenia naukowców-konstruktorów, mimo „gwarantowanego” — wydawałoby się — systemu zabezpieczeń, zawsze istnieje w najgenialniejszej nawet aparaturze jakiś błąd, jakaś luka, która może stać się przyczyną niezaplanowanej i niekontrolowanej katastrofy. W „Grach wojennych” kilku-nastoletni amerykański licealista, chcąc sobie „poprawić” stopień z biologii „zakodowany” w szkolnym komputerze, przypadkowo łamie szyfr kodu wojskowego uruchamiając w następstwie cały komputerowy system stworzony z myślą o wojnie ze Związkiem Radzieckim... Dosłownie w ostatniej chwili udaje się ludziom opanować komputer. Scenariusz, choć „fantastyczny”, powstał podobno w oparciu o autentyczny (!) przypadek, jaki zdarzył się w Stanach Zjednoczonych. Chociaż, oczywiście, nie w takiej samej scenarii, i nie na taką skalę jak w filmie.

Wątek „oszalełego komputera”, który wyrwał się spod ludzkiej kontroli i stał się samolubną „żywą” elektroniczną istotą usiłującą zapanować nad człowiekiem i nad światem, był zawsze wdziecznym tematem dla literatury i dla filmu, w statunku science fiction. M.in. świetnie wykorzystał go Stanley Kubrick w swym najsłynniejszym filmie — „2001: Odyseja kosmiczna” nakreślonym w 1968 r. Monstrualnej wielkości komputer pokładowy statku kosmicznego, zmierzającego do odległej galaktyki, przetrwał tam pełnię władzy nad statkiem i jego załogą do chwili... Do chwili, gdy musiał jednak ostatecznie skapitulować przed potęgą „żywego”, ludzkiego umysłu wprowadzającego do walki nieznane maszyny... fałsz i obłudę.

U Kubricka wszystko to działo się gdzieś daleko, w otchłani kosmicznej, w fantastycznej pozaziemskiej scenarii. U Johna Badhama przeciwnie: jego „Gry wojenne” toczą się w aktualnie otaczającym nas świecie, w scenarii, której można „dotknąć ręką”. Dotyczy problemów, którymi żyjemy na co dzień, chociaż na co dzień odsuwamy je od siebie, staramy się o nich nie myśleć. Ale one istnieją.

Wśród filmów fantastyczno-naukowych, zdominowanych przez opowieści o międzygwiazdowych podróżach i wojnach gwiazdowych, najmniej jest tych dotyczących zagłady naszego świata w wyniku wojny nuklearnej. Składa się na to wiele przyczyn. A wśród nich również ta, że publiczność, szukająca w kinie słownie rozrywkę, odprezenta, nie lubi oglądać na ekranie totalnej zagłady swojego własnego, ludzkiego rodzaju. Zbyt to przerażające, zbyt... prawdopodobne!

Dlatego tylko wyjątkowo utalentowany reżyser może — biorąc na warsztat podobny temat — liczyć na sukces. Takim sukcesem — dołąd właściwie nie powtórzonym — był nakreślony w 1959 r. przez Stanleya Kramera „Ostatni brzeg”. Ponura, lecz pełna humanizmu opowieść o australijskiej społeczności (ostatniej, ocalałej w światowej wojnie nuklearnej) oczekującej z determinacją i z godnością na nadciągający ku Australii radioaktywny obłok, mający przynieść wszystkim mieszkańcom śmierć... Niezapomniane kreacje aktorskie stworzyli tutaj Gregory Peck, Ava Gardner, Fred Astaire i Anthony Perkins. Film Kramera —



okrutny w swej rzeczowości i logice ponury w wymowie, spokojny w narracji zupełnie pozbawiony pirotechnicznych efektów i „katastroficznych” scen — wstrząsał widzom do głębi, na zawsze zapadał w pamięć.

W porównaniu z „Ostatnim brzegiem”, taka na przykład — nakreślona w niespełna dziesięć lat później — „Planeta małp” Franklina Schaffnera była tylko naiwna, chwilami zabawna (w miejscach nie przewidzianych przez reżysera) opowieść o degrengoladzie — na skutek wojen nuklearnych — gatunku Homo sapiens zdominowanego przez... małpy, które osiągnęły (dla kontrastu) wysoki stopień rozwoju osobniczego.

Nie stał również na wyżynach sztuki reżyserskiej, pokazujący u nas stosunkowo niedawno temu w telewizji amerykański film — „The Day After” („Najazd”), Niebawie wstrząsający w swej wymowie, stonowany, groźny memento na temat skutków wojny nuklearnej, ale nie odznaczał się — poza kapitalną sekwencją startu rakiet nuklearnych oraz oczekiwaniami na „odpowiedź” rakietowa strona przeciwna — ani zbytnią inwencją reżyserską ani pomysłowością, ani wrażliwością.

„Gry wojenne” Johna Badhama wywołują się wśród wyżej wspomnianych

filmów zajmować pozycję „wypadkową”. Bedac dramatem sensacyjnym, przeznaczonym dla tzw. szerokiego widowni a więc dostosowującym się do gustów i upodobań przeciętnego widza, oczekującego „filmu akcji” z efektywnie domyślaną zagadką rozwijaną w brawurowy sposób na ekranie — są zarazem filmem publicystycznym. Używającym klarownego i jasnego i przekonującego języka do uodwodnienia założeń myśli przewodniej oraz ideowych racji autorów filmu. Maja też „Gry wojenne” swoje głęboko humanistyczne wymowy: że nie wolno ślepo zawierzać maszynom, choćby nawet najbardziej „inteligentnej”. Natomiast trzeba — mimo, wszystko — wierzyć w ludzi.

Bo w sumie nie są oni tak bardzo źli, tak nienawidzący się i tak bardzo nieprzejednani, jak to by mogło wydawać się na pierwszy rzut oka.

Także: że świat, na który pada groźny cień rakiet, jest przecież piękny, wart życia i wart miłości.

Ale: panujemy nad naszymi emocjami, nad umysłami i nad... komputerami!

M.D.

## Z Grażyną Pułą - zwyciężczynią naszego konkursu

— Jedziesz do Burgas na dwutygodniowe wczasy. Cieszysz się?  
— No pewnie...  
— Byłaś już za granicą?  
— Jeszcze nie. W tym roku jadę na obóz do NRD, wracam i do Bułgarii. Nie miałam jeszcze takich wakacji... Tego się nie spodziewałam.  
— Zwycięstwa w konkursie też nie?  
— Nie. Postanowiliśmy wystartować całą grupą Kola Przyjaźni Polsko-Bułgarskiej. Pomagał nam w rozwiązywaniu nauczyciel, p. Władysław Nosalski, wiele materiałów dostarczył nasz nauczyciel języka bułgarskiego, p. Ryszard Czawdarow. Rozwiązywanie było wspólne, a potem każdy wysłał tyle kuponów, ile chciał, ile zdążył kupić.  
— A ty — ile?  
— Tylko jeden i to ostatniego dnia. Za to w pierwszym terminie.  
— Kiedy się dowiedziałas, że wygrałaś konkurs?  
— Tego samego dnia, kiedy było losowanie. Ktoś dzwonił z Lublina do opiekuna kola, p. Jana Chroła, i powiedział, A p. Chról od razu poszedł do internetu, gdzie mieliśmy dyktoskoteke, odsłuchał mnie...  
— I co?  
— Nie wierzyłam, ale jak koleżanki zaczęły się cieszyć, ścisnąć i gratulować mi, to jakos to do mnie dotarło.

— A w rodzinnych Polubiczach, co mówili?  
— Rodzice nie bardzo wiedzieli o co chodzi. Słyszeli, że jadę do Bułgarii, ale z jakiej okazji już nie. Po prostu nie mówili mi, że wypełniałam kupon konkursowy. Sądziłaż znowu otyłki, czy to wszystko prawda.  
— Gdzie leżą Polubicze?  
— Około 10 kilometrów - Wisznie w stronę Radzyna Podlaskiego.  
— Ile mają mieszkańców?  
— Trudno powiedzieć. Są Polubicze Dworskie, Wiejskie I i Wiejskie II. Razem będzie może dwieście domów.  
— Macie jakieś instytucje kulturalne w Polubiczach?  
— Żadnych. Do kina jeździmy do Białej Podlaskiej. Czasami też przyjeżdża obiadowe do Wisznie.  
— A grasa jakaś dociera?  
— Dociera, ale z opóźnieniem. Przedzieli już w Wisznie coś się kupi. „Kamena” przychodzi z opóźnieniem paru dni...  
— Czytacie „Kamena”?  
— Od czasu do czasu. Teraz chyba zaczęły regularnie.  
— A Bułgaria interesuje się od kiedy?  
— Od pierwszego klasy, kiedy założono u nas kolo.  
— Ile was do niego należy?  
— Trzydzieści pięć osób. Głównie z naszej klasy, III b. Trochę też z młodszymi.



Fot. R. Lipski

— W konkursie nagrody otrzymały też twoje koleżanki...  
— Tak Dorota Andrzejuk chodzi ze mną

do klasy, a Dorota Leszczyńska chodzi do pierwszej.  
— Zdałaś do klasy maturalnej. Co zamierzasz robić po jej ukończeniu?  
— Jeszcze nie wiem. Też dużo czasu...  
— Jak się uczysz?  
— Przeciętnie. Nie jestem pierwszym.  
— Masz ulubioną przedmiot?  
— Tak. Matematykę.  
— Zainteresowania?  
— Jestem w harcerstwie. Mam stopień instruktorski przodownika. Te jest moje ulubione zajęcie pozalekcyjne. Właśnie z ZHP jadę do NRD. Poza tym lubię muzykę młodzieżową. Lubie tańce.  
— Masz chłopaka?  
—  
— Może powiesz coś o rodzinie?  
— Rodzice są rolnikami. Mam też czterech młodszymi braci. Najstarszy ma 17 lat i chodzi do zawodówki. Jakiś trochę 12 i 5 lat — to podstawówki a najmłodszym ma dopiero rok. Rodzice są młodzi. Tata ma 42 lata a mama — 38.  
— Co uprawiają rodzice? Co hodują?  
— W Polubiczach większość ludzi ma sady. Moi rodzice też. Ponadto — tak to na wsi — wszystkie po trochu...  
— Czego się spodziewasz na wyjeździe do Bułgarii?  
— Chciałabym poznać tamnych ludzi. Opisać się.  
— Nie będa ci zazdrości w szkole? W Polubiczach?  
— Nie wiem. Nie myślę o tym.  
— A o czym?  
— Ze się trochę oderwę od Polubicz. Poznając trochę świat...  
— Tego ci życzymy!

Rozmawiał:  
Waldemar Piasecki

## OGŁOSZENIA DROBNE

Jamniki rodowodowe sprzedam. Świdnik, Sławińskiego 36 m. 35.

18313/G

Claudię — sprzedam. Lublin, tel. 272-62.

18861/G

Siatka ogrodzeniowa o różnych wymiarach oczek, bramy, słupki — wykonuje na zamówienie Usługowy Zakład Rzemieślniczy. Trzciniec 62 k. Lubartowa.

18968/G

Założyciele: Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Piotr Kopicowski (z-ca redaktora naczelnego), Zygmunt Mańkowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński (kierownik działu literackiego), Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Lidia Wójcik, Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektorzy — Barbara Caban.

Redaktor nie zwraca materiałów nie zamierzonych i zastrzega sobie prawo skrótów. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w piątek w godz. 14-16.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa-Książka-Ruch” Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie, ul. Jasna 6, tel. 233-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Umiecka 4. Adres redakcji: 20-023 Lublin ul. Skłodowskiej 23.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny, z-ca redaktora naczelnego, 233-22 sekretarz redakcji, 233-23 dział publicystyki i literacki, 233-24.

Korespondencje zwłoke prosimy kierować pod adresem: 20-023 Lublin, skrytka pocztowa 231, polecone i ekspresowe — pod adresem redakcji.

Zam. 1293/85, 1985-07-09, L-2.





Oczywiście był to jeden z żarcików Izy, bowiem telefonował ojciec Leona.

— Ach, to ty, ojczyku! Znowu mnie Iza nabrała.

— A ty zapewne myślałaś, że dzwoni do ciebie Isaura?

— Daj mi spokój, chociaż ty mi daj spokój, z tą mulatką. W pracy Isaura, w domu Isaura, w gazecie Isaura...

— Wiesz, był kiedyś taki dowcip, choć już nie pamiętam, kogo on dotyczył. Wyjmujesz z lodówki puszkę sardynek, otwierasz i co widzisz w środku?

— Oczywiście, że Isaurę. W oleju. Znam to, znam. Ale ten dowcip dziś nieaktualny. Gdzie dostaniesz sardynkę?

— Trzeba uśmiechnąć się do dyrektora Kućmińskiego z Centrali Rybnej!

— Ten numer dzisiaj nie przejdzie. Po co dzwonił?

— Muszę mieć jakiś powód? Cóż to ojciec z synem nie może porozmawiać?

— Przepraszam, ale ostatnio coś za bardzo się denerwuję.

— Przejeżdż się samochodem po rozkopanym mieście to później w domu młód ci będzie sypać po sercu. Z radości, że wróciłeś. Albo wybierz się na urlop.

— Najpierw rozbiję bank. Najlepiej z zielonymi. Orbis' ma ponętne propozycje.

— Życzę szczęścia. Może wpadnie do was wieczorem.

— Prosimy. Nigdzie się nie wybieramy.

Leon odłożył słuchawkę. W sama porę, bo Iza wzięła właśnie talerze z barszczem. Wyglądał apetycznie.

Porą bliżej przedstawić naszych bohaterów. Oto Iza Trędowicz, pani domu. W rzeczywistości prezentuje się dużo lepiej niż na tym rysunku u góry (może tak będzie wyglądać za lat dwadzieścia?) Iza wkrótce dobieje do trzydziestki, choć woli o tym nie myśleć. Jest w miarę wysoka, ma duże niebieskie oczy i długie włosy. Włosy te są dość

ciemne, ale Iza tleni je z uporem godnym lepszej sprawy. Jej oczy szczególnie podobają się mężczyznom. A styka się z wieloma, bowiem kieruje sekretariatem w dość poważnej Instytucji.

Pan domu, Leon, jest od niej starszy o cztery lata. Z wyglądu przypomina nieco południowca: ma czarne włosy mały wąsik, piwne oczy. Ukończył wydział inżynierski i to z czerwonym dyplomem. Przed kilkoma miesiącami porzucił niezłą posadę w dużym przedsiębiorstwie i zatrudnił się u przyjaciela jako mechanik w prywatnym zakładzie naprawy samochodów.

Iza i Leon jak już wiadomo z pierwszego odcinka, mają dwoje dzieci. Sześcioletnia Małgosia na jesieni pójdzie do „zerówki”, natomiast dziewięcioletni Mirek kończy właśnie drugą klasę. Dzieci są bardzo towarzyskie, choć niektórzy twierdzą, że nieco przemadrale.

Ojciec Leona uchodzi za naukowca. Jest docentem, pracuje na uczelni i od kilku lat bezskutecznie czeka na profesorską nominację.

Wrz z Izą, Leonem i dziećmi mieszka jeszcze pod wspólnym dachem w tym M-6, własnościowym zresztą dziewiętnastoletnia siostra Izy, Halina, która studiuje stomatologię. Pierwszy rok ma już prawie za sobą.

II.

Było dobrze po północy, kiedy rozległ się zgrzyt klucza w zamku. Leon spał bardzo czujnie, żaden szmer nie mógł umknąć jego uwadze. W pi-dżamie wybiegł na korytarz.

— Moja droga — powiedział do szwagierki, bo to ona właśnie wracała — nie mogłabyś wcześniej kończyć swoich randek? Nie zapominaj, że tu mieszkają ludzie pracy!

— Nie byłam na żadnej randce, ale u koleżanki. Przygotowywałyśmy się do egzaminu.

— Picować to ty możesz swoja siostrę, a nie mnie. Spójrz do lustra i zobacz, jak wyglądasz! Mogę się złożyć o wszystkie skarby świata, że przed chwilą wylazłaś spod koldry.

Z drugiej strony korytarza otworzyły się drzwi i pokazała się w nich Iza.

— Przestań się wykićcać i daj spać dziewczynie. Nie wiesz, że ona ma ciężki egzamin? — zatraj-kotała.

— Egzamin, egzamin, już ja się dobrze znam na takich egzaminach! Do chłopca lata. Popatrz tylko, jaka potargana i jak jej się błyszcza oczy! O nie, mnie ona nie nabierze. I wypraszam sobie, wypraszam raz na zawsze tak późne przychodzenie. To nie jest hotel moja panno!

— Izo, powiedz mi coś, bo ja wybuchnę. Leonowi wszystko się kojarzy...

— Z czterema literami, tak? A kojarzy mi się, owszem!

— Nie będę tutaj mieszkać. Poszukam sobie sublokatorki. To jest prawdziwe niewolnictwo.

— Jeszcze jedna Isaura, prawda? Marsz do łóżka i daj ludziom pospać.

— Dobrze, dobrze, tylko na chwilę pójdę do łazienki.

— A nie mówiłem, że dopiero co wyskoczyła z łóżka? Nie mogłaś się u niego wymyć?

— Leon — Iza podniosła głos — ja sobie wy-praszam, abyś tak się zwracał do mojej siostry! Jak ty się kapiesz raz w miesiącu, to myślisz, że wszyscy są takimi samymi brudasami?

— Kąpię się, kiedy potrzeba a po pracy myję się bardzo dokładnie. Pilnuj lepiej siebie i popatrz, jak wygląda pościel, w której syplasz.

— Leon, bo ci coś powiem!

— Dzieci możesz straszyć, ale nie mnie. Dobranoc. I proszę, aby była — już cisza! — Trzasnął drzwiami tak mocno, że niemal nie wypadły z futryny. Z góry rozległo się ostre pukanie ktoś uderzał kijem o kaloryfer. „Cały blok nie może spać przez tę ławicę” — pomyślał i naciągnął koldre pod samą brodę.

— Leon, co ty taki zły? — zapytał go następnego dnia rano Waclaw Pasik, właściciel warsztatu — Przecież Motor zremisował i już mu mogą nadmuchać.

— Każdy ma jakieś kłopoty. Do czego się zabierać?

— Obejrzyj dokładnie tego malucha, chyba trzeba wymienić tarczę sprzęgła. No i hamulec ręczny nie działa. Nie leń się, inżynierku!

Leon z Waclawem znali się od dziecka, wspólnie grywali w piłkę na podwórku. Waclaw skończył tylko zawodówkę, ale miał wiele sprytu, należał do tych, którym forsą sama pcha się do łapy. Przed czterema laty założył ten warsztat, w którym obok niego i ostatnio Leona pracował jeszcze dwudziestoletni Henio Kusyk. Warsztat mieścił się w specjalnie ku temu przystosowanym pomieszczeniu. Jednopiętrowa willa, leżąca tuż pod miastem, stanowiła własność Waclawa. Był więc w życiu całkowicie urządzony. Nie mógł jednak powiedzieć, że czuje się szczęśliwy, a to z powodu małżonki, gderliwej Marysi, która palala wzrost chorobliwą zazdrością. Krzywo patrzyła nawet na Ize. Kiedyś przyszła ona odwiedzić męża którego dłużej zatrzymała pilna robota. Ta zazdrość Marysi nie była tak całkowicie nieuzasadniona, ale na razie nie uprzedzamy wypadków.

Nim jednak Leon wziął się za malucha, podjechała pod warsztat łada, Leon spojrzął i od razu poznał kierowcę. Wóz prowadził redaktor Murzał, czyli inaczej mówiąc Jureczek, dawna symonia Izy, o którym ta wczoraj czule wspominała. Obaj mężczyźni znali się, ale pobieżnie.

— O, pan tutaj, panie Trędowicz? Też wóz panu nawalił?

— Nie, panie redaktorze. Ja tutaj po prostu pracuję.

— To świetnie! Zawsze lepiej, jak się załatwia sprawę po znajomości.

— Dla jednych lepiej, dla drugich gorzej — odpowiedział Leon i zabrzmiało to dość złowieszczo. — Co nawaliło?

(cdn.)

Archiwum mistrzów anegdoty

Henryk Wieniawski spotkał na ulicy parę rzyjskiej żebraka-staryjka, grającego nędzną melodię na jeszcze bardziej nędznych skrzypkach, przed którym stał pudełek z pustym talerzykiem w zębach. Wieniawski, nie namyślając się długo, stanął obok żebraka, wydobyl skrzypce i zaczął grać Adagio Tłumy gapił się natychmiast się zebrały. Po zakończeniu gry Wieniawski obszedł autorem i zebrałszy sporą ilość pieniędzy wycpał je do talerzyka uszczęśliwionego żebraka. Za czyn ten uzyskał obłędnie brawa zgromadzonej paryskiej gawiedzi.

Henryk Worcell, autor „Zaklętych rewtrów” był swego czasu na przyjęciu. Gdy

pani domu zaczęła podawać herbatę w niezwykłe cennej porcelanie Worcell usiłował ją wyręczyć. Na odruch lekmu a całość porcelany ze strony gospodyni autor „Zaklętych rewtrów” oświadczył:

— Proszę wstrzymać, że lepiej obchodzę się z tacą, niż z piórem.

W związku z przyznaniem Ludwikowi H. Morstinowi w 1938 r. nagrody literackiej m. Krakowa ukazały się m. in. „Refleksje po nagrodzie” opublikowane na łamach „Kuryera Literacko-naukowego” w dn. 8 czerwca 1938 r.

PODZIAŁ

W Krakowie obdzielono nagrody połową — raz dostał — powiem wam na uszko — Białeńsk z Galuszką, oraz Nowakowski z Gruszecką-Nitschową.

Podział na dwoje był trudny i swary były po nim — zastosowano więc podział niegorzszy na troje! Część dostał Ludwik, drugą — Hieronim, a trzecią otrzymał Morstin.

Wyszperał: Ryszard Dunin

Krzyżówka nr 15 - z szyfrem

Poziomo: 4. turystyczny hotel, 8. między papierem i tekturą, 10. danina pieniężna ściągana przez okupanta od ludności, 11. drugi zbiór siana, 15. podwarszawska miejsce bitwy księcia Józefa, 16. karma, 18. biblijna kobieta prorokini, 21. dalszy plan obrazu, 23. tułów, 24. zwierzęta juczne, 25. według niego grobla, 26. odgłos łamanego drewna, 27. łączy blachy, 28. krakowski barbakan, 22. płynąca woda, 34. imię Slonimskiego, 35. utrwalacz fotograficzny, 39 o kim, o czym, 40. nauczyciel języka obcego na wyższej uczelni, 41. ojciec — architekt, syn — malarz i pisarz.

Pionowo: 1. np. żywca, 2. dawna miara długości, 3. zasila elektrownię w Porąbce, 5. naprzeciw Niedzicy, 6. między bramkarzem i pomocą, 7 szkło w oknie, 9. zderzenie, 12 kręca się na nich koła, 13. złote było celem Argonautów, 14 straszny krzyk, 15. dziedzina wiedzy zajmująca się sprawiedliwością, 17 magazyn, 18. pieśń pochwalna w podniosłym tonie, 19 wiosna na wierzbach, 20 największa z republik radzieckich, 22. miasto nad Kamienną, 23. rodzaj czerwieni, 29. prad, 30. powtarza głos, 31. sąsiedź, 33. zeszyt, 36. wezwanie, 37. część należności, 38. lisia jama.

Szyfr  
G12, L14, G4 / L7, I17, G16, C16, K3 / A3, G10, I15, / O3, I9, K7, N15, E6 / M5, L13, F17 / E8, A11, C13, K12, M3 / D1, N7, E4, J5, G2 / D6 / I10, H13, I4, C11, E16 //

Rozwiązania można nadsyłać w ciągu 10 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji (skr. poczt. 231 20-950 Lublin). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy bon książkowy za 500 zł.

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 13 Z SZYFREM

Poziomo: sączek, trakt, obraz, proporzec, misja, jądro, koloratka, Wraki, Ohio, mazut fala, aura, Iran, opór, Niobe, laba, zamek, dziewanna, dętka, proza, legalista ścisł, skład, Zamość.

Pionowo: rozmówca, presja, szpaki, zaproszenie, racja, kandahar, rzut, proso, astrolabium, kafle, kłapa, oliwa, marsz, Robotnik, nakładka, Łądek, zapaść, mrowie, dala, trga.

Szyfr  
Póki ci wesoło, wesel się. Bo póki wesoło, to i śmierć daleko.  
Wiesław Myśliwski  
Kamień na kamieniu

Nagrodę otrzymuje Wiesław Tokarczyk, Nowy Świat 5/74, 26-999 Koźnice.

	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
A	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
B	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
C	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
D	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27
E	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
F	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
G	18	19	20	21	22	23	24	25	26	27	28	29	30	31	32	33	34
H	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
I	26	27	28	29	30	31	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42
J	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
K	32	33	34	35	36	37	38	39	40	41	42	43	44	45	46	47	48
L	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
M	39	40	41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	55
N	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17
O	41	42	43	44	45	46	47	48	49	50	51	52	53	54	55	56	57